

**Rosja.**  
**Mir Iskusstva**

## **Spis treści**

|                                                                              |            |
|------------------------------------------------------------------------------|------------|
| <b>New No New Age Advanced Ambient Moscow Music Machine .....</b>            | <b>3</b>   |
| <b>Wściekle bijąc głową w mury.....</b>                                      | <b>9</b>   |
| <b>Wielka Gra .....</b>                                                      | <b>12</b>  |
| <b>Sztuka taka realistyczna!.....</b>                                        | <b>16</b>  |
| <b>Ja igraju na garmoszkie.....</b>                                          | <b>20</b>  |
| <b>Mjuzikl .....</b>                                                         | <b>27</b>  |
| <b>Na wystawkę do Muzeum Architektury .....</b>                              | <b>31</b>  |
| <b>Na balety! .....</b>                                                      | <b>35</b>  |
| <b>Tsereteli wielkim rzeźbiarzem jest i basta! .....</b>                     | <b>39</b>  |
| <b>Czy Raskolnikow śni o elektrycznej gitarze? .....</b>                     | <b>48</b>  |
| <b>Let Moscow Shake.....</b>                                                 | <b>53</b>  |
| <b>Dzikość serca.....</b>                                                    | <b>61</b>  |
| <b>Muzyka łagodzi obyczaje .....</b>                                         | <b>65</b>  |
| <b>Zwycięstwa ojczyzny nad emigrantem lub: Program 500 (euro) minus.....</b> | <b>66</b>  |
| <b>Niecharasza wystawa.....</b>                                              | <b>70</b>  |
| <b>This is the noise that keeps me awake .....</b>                           | <b>86</b>  |
| <b>Muzyka martwej rosyjskiej duszy.....</b>                                  | <b>93</b>  |
| <b>DichloroDiphenylTrichloroethane .....</b>                                 | <b>97</b>  |
| <b>Obraz wart więcej niż tysiąc słów .....</b>                               | <b>105</b> |

## New No New Age Advanced Ambient Moscow Music Machine

[10.10.2015]

Mój drugi weekend w Moskwie uświetniła wycieczka z drużyną nauczycieli do parku Kołomienskoje. Niestety nie byliśmy jedynymi, którzy wpadli na ten pomysł. Przez jakąś godzinę miło nam się chodziło, a potem się rozeszliśmy. Podobny był czwarty weekend – zakupy, prace porządkowe. Po drodze był jednak trzeci.

Są zespoły, których słucham np. do sprzątania lub jadąc autem. Są artyści, których uwielbiam słuchać. Niektórych do tego podziwiam – np. taka Sepultura to fajny zespół, ale nie idzie odlecieć na punkcie członków i tego, co robią. Lista tych podziwianych nie jest bardzo długa, a jedno z najważniejszych miejsc na niej zajmuje Blixa Bargeld, z rozszerzeniem na całe Einstürzende Neubauten.



Zakładam, że odbiorca tekstu nie wie za wiele o niemieckiej legendzie industrialu, więc pozwolę sobie nakreślić jakiś bardzo ogólny obraz. Wiele, wiele lat temu grupa chłopaków z Berlina założyła sobie zespół. Nie mieli fortuny, więc pewnego dnia perkusista sprzedał swój zestaw do grania. Tak się złożyło, że zaraz potem dostali ofertę zagrania koncertu, czyli przytulenia paru groszy. Dość im na tym zależało, no ale bez perkusji? Poszli więc na tour po śmietnikach i zebrali wszystkie możliwe kubelki, które dawały jakiś pogłos – puszki po farbach, wiadra, diabli wiedzą, co jeszcze. Kiedy to testowali, olśniło ich: to jest niesamowity dźwięk, którego standardowe instrumenty nie dają. Wkrótce zaczęli włączać do swego instrumentarium najdziwniejsze rzeczy. I tak przy okazji wpisali się w historię muzyki industrialnej. Pierwszy raz usłyszałem ich gdzieś w 2001 roku. Nie wciągnęło mnie od razu, ale niektóre kawałki dość mi się podobały. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu, muzyka określana przez wiele osób jako plac budowy jest niesamowicie różnorodna. Przez dekady EN poszukiwało nowych brzmień, dźwięków, pisało niesamowite teksty, grało kawałki, które dawało MTV i rzeźnie, które pokonałyby fanów Deicide. Po drodze Blixa spotkał Nicka Cave'a. Cave się zakocha od pierwszego wejrzenia (podobno spotkał go, gdy Blixa stał z mięsem przyklepionym do klatki piersiowej, owinięty mikrofonami, a ktoś tłukł w padlinę i w ten sposób nagrywali), wziął Blixę do siebie.

Trochę wyglądało to tak, że Blixa grał z Cavem dla kasy, robił tam wspaniałą robotę, poprzewijał się w klipach, a w przerwach nagrywał kolejne płyty EN. W końcu po latach współpracy powiedział, że praca z Cavem zabiera mu za wiele czasu, że brakuje mu go na porządne robienie EN i zrezygnował z Cave'a. Mając do wyboru dość proste granie na życie

(w porównaniu, nie że Cave jest prosty) i robienie projektu totalnie odjechanego, wybrał to drugie. EN miało taką ciekawą koncepcję swego czasu, że chciało się uniezależnić od wytwórni i być sponsorowane przez fanów. Za 25 euro zostawało się supporterem, miało wgląd w materiały ze studia, dyskutowało na forum i wносиło sugestie. W nagrodę miało się swe personalia wydrukowane w książeczce do płyty i dostawało fizyczny nośnik. Pomysł genialny, ale niestety nie do końca wypalił w tym akurat przypadku. Mnie było szkoda, bo akurat działało się to w czasie, gdy 25 euro było dla mnie sumą bardzo pokaźną i nie mogłem im jej przekazać (do tego nie miałem nawet za bardzo jak). W 2008 roku udało mi się zobaczyć EN w warszawskiej Proximie. Grali tour z okazji wydania płyty *Alles Wieder Offen*. Wyszedłem na kolanach. Nigdy wcześniej i nigdy później nie kupiłem dwóch koszulek na koncercie – albo mi się aż tak nie podobały, albo uznawałem, że za drogo. Z EN wróciłem z jedną czarną z logiem, drugą białą z wielkim napisem *Alles Wieder Offen* i trasą na plecach.



Źródło: [Tumblr](#).

Dzięki temu, że pracowałem z kretykami, którzy nie szanowali mojego czasu ani mnie, przypadł mi lipcowy występ EN w Lublinie. Darmowy, miasto zapłaciło. Koleżanka pokazała nagrania, podłamałem się, bo grali akurat rzeczy, które lubię. No cóż, raz w życiu ich widziałem, wystarczy. A może nie? Koło 10 września przeglądałem ofertę kulturalną Moskwy. Widzę EN. Jakim cudem??? Skąd??? Jakie oni tournée grają??? Przecież nie wydali niczego. Grali w wakacje tour *Greatest Hits*, ale teraz??? No i okazało się, że wydali, że nazywa się to *Lament*, wyszło jeszcze w 2014. Pognałem po bilet, a potem sprawdziłem, że ta trasa polega na tym, że grają cały *Lament*. W ciągu paru dni wrąbałem *Lament* na pamięć, znalazłem parę rewelacyjnych rzeczy, kilka mniej i czekałem niespokojnie na 26 września.

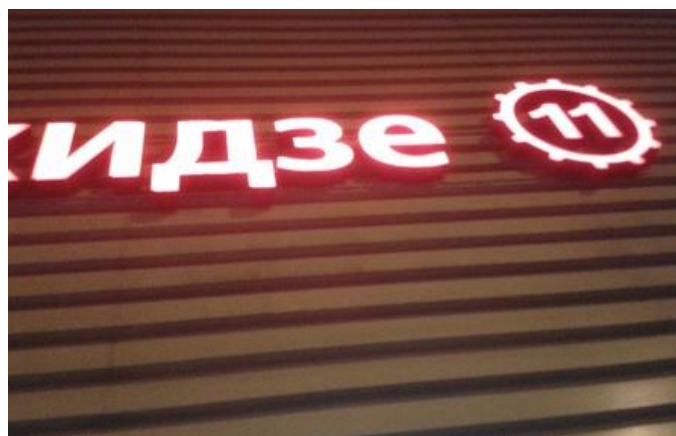


Koncert odbył się w Yotaspacie – raczej małej sali koncertowej przy ulicy Ordżonikidze (niech po wsze czasy żyją gruzińscy komuniści!). Jeżeli wierzyć systemowi rezerwacji, było 300 biletów. Myślę, że trochę więcej, ale góra 500 (nie tak łatwo ocenić rozmiar tłumu, gdy się stoi na jednym poziomie, a do tego jest jeszcze balkon). W skali koncertów, to i tak bardzo mało. Jednak życie byłoby nudne, więc ochrona klubu miała detektory metalu, każdego sprawdzała z godną podziwu pasją. Deko się wkurwiłem, bilet kosztował 2200 rubli (+10% prowizji za kupno od pośrednika – nie bardzo chciało mi się jechać kawał miasta do klubu, żeby oszczędzić z 10 PLN), a traktuje się każdego, jakby chciał tam zrobić ISIS i Czeczenię. W pewnym momencie łączyłem przez bramkę tam i z powrotem, kładłem do głowy ochroniarzowi, że mam buty z metalem i że zajmie, jak je będę zdejmował. W tym czasie mój portfel, telefon, paszport i klucze leżały kilka metrów obok, w salce pełnej ludzi chodzących w tę i w tę równie durnowato jak ja, a on zapraszał mnie do kolejnego przechodzenia. W końcu po macanku łaskawie zgodził się mnie wpuścić,

Szatnia zrobiła nieco lepsze wrażenie, sala koncertowa w dość dobrym standardzie. Koncert miał zacząć się o 20. Taaa... O 20 na ekranach szły reklamy, jakiś brodaty dziad borowy grał DJ set, w tym Rammsteina – biorąc pod uwagę to, że Blixa się swego czasu solidnie napierdalał z tej grupy, to trochę kuriozalny wybór, chyba że weźmiemy pod uwagę jakieś bardzo głębokie pokłady intertekstualnej ironii, ale nie sądzę. W końcu pan poszedł i nic. Po nastu minutach tego stania ludzie poczęli się deko irytować. Przypomniały mi się dawne czasy, gdy 19 znaczyła zazwyczaj 21, gdy stało się przed koncertem i czekało wieki, aż zespół łaskawie wyjdzie. Szczęśliwie, w wielu krajach nauczono muzyków tego, że 19 może znaczyć 19:05, ale nie 20. Niestety, w Moskwie jeszcze nie.

Wodopój oferował piwo w cenie 300 rubli, co nie jest jeszcze straszną ceną za Guinnessa, ale przy tym, że rosyjskie piwa w sklepie kosztują 30-60, to już stanowi pewien odjazd. Staliśmy więc wszyscy, aż w końcu chłop stojący w pobliżu wyjął komórkę, wziął numer z biletu i zadzwonił do dyrekcji klubu z pytaniem, czy to są jakieś jaja. Jego rozmowie przysłuchiwało się kilkanaście osób, od nich dostał owację, a z telefonu zapewnienie, że do 21 wyjdą.

a mnie szczęśliwie nie jebnęli w międzyczasie dokumentów i hajsu.



W tym czasie zagadła mnie Rosjanka, która po pierwsze spytała, skąd mam białą koszulkę Neubautenów. Powiedziałem jej więc, że w 2008 roku mieli takie na stanie i sobie kupilem. Powiedziała, że zwróciła na mnie uwagę, bo wszyscy są na czarno, a tylko ja na biało. Rozpoczęliśmy rozmowę, okazało się, że jest wielką fanką Cave'a, ale EN w ogóle nie zna, niemniej chciała zobaczyć tego chłopca, co tyle grał z Nickiem. Przeraziłem się nieco, EN nie jest za blisko Cave'a. Trochę jej – Saszy – powiedziałem, żeby nie spodziewała się *The Weeping Song* i że dość dobrze ich znam, do tego *Lament*, więc będzie jazgot, łomot, rzewnego zaśpiewu raczej nie. Że mam nadzieję, że się nie rozczaruje, ale nie, nie będzie kawałków, które Blixa śpiewał z Cavem. Na tej rozmowie upływał mi czas, gdy dochodziłem do odpowiedzi na pytania, co Polak robi w Moskwie, ruszyło. Wyszli kilka minut przed 21.

Trasa *Lament* ma formę właściwie teatru, rozpoczyna się od tego, że grają *Kriegsmaschinerie* (dość solidny jazgot z łańcuchami przeciąganymi przez różne rzeczy i dużą ilością elementów metalowych), a w tym czasie Blixa wznosi kolejne plansze z tekstami o wojnie. Idea jest taka, że wojna karmi się ignorancją i dumą narodową, nigdy się nie kończy, tylko chwilami zamiera, ale ludzie zawsze ją ponownie przywołają. I że o tym będzie nasz wieczór. Potem jadą właściwie całą płytę, w tym kawałki po flamandzku.



### **Setlista wyglądała tak:**

*Kriegsmaschinerie*

*Hymnen*

*The Willy – Nicky Telegrams*

*In De Loopgraaf*

*Der 1. Weltkrieg (Percussion Version)*

*Achterland*

*Armenia 3*

*On Patrol In No Man's Land*

*Lament 1. Lament*

*Lament 2. Abwärtsspirale*

*Lament 3. Pater Peccavi*

*How Did I Die?*

*Sag Mir Wo Die Blumen Sind*

*Let's Do It a Dada*

*All Of No Man's Land Is Ours*

*Ich Gehe Jetzt*

### Naj momenty:

- *Hymnen*, drugi kawałek, z takim pięknym zaśpiewem na głosy, że wszystkim zerwało berety.
- *The Willy – Nicky Telegrams* są śpiewane na dwa głosy, Hacke jest carem Mikołajem, Blixa cesarzem Wilhelmem. Cały tekst oparty jest na wiadomościach wymienianych przez władców Rosji i Niemiec, tak się złożyło, że byli kuzynami. Poszło to jako trzecie i zabiło wszystkich zebranych. Po tym Sasza obróciła się do mnie i powiedziała, że Neubauten to *klassnaja gruppa*. Powiedziałem, że wiem i pomyślałem sobie: „Poczekaj, to się dopiero zaczyna”. Ja tam wiem, co będzie dalej. A był:
  - kawałek grany kulami inwalidzkimi;
  - inny na drucie koleczastym.
- Dwa utwory, które oryginalnie zostały napisane przez grupę czarnoskórych żołnierzy z USA, dla których to wizyta w Europie oznaczała walkę na pierwszej linii ognia. Kolesie tak się wyrobili, że byli postrachem sił niemieckich (zapewne paru się nie wyrobiło i poszło do ziemi, ale o tym nie było). Te kawałki to *On Patrol In No Man's Land* i *All of No Man's Land Is Ours*.
- Absolutnym opus magnum był mój ulubiony kawałek z *Lament*, czyli *How Did I Die?*, trwająca ponad siedem minut epopeja o śmierci żołnierza. Z dość spokojnego kawałka przechodzi w epickie walnięcie, które w połączeniu ze światłami (właściwie jedynymi tego wieczoru) wyrывa z butów. Po staniu przez ponad godzinę w raczej ciemnościach, walnięcie świateł robi dodatkowe wrażenie, o ścianie dźwięku nie wspominając. Po nim zespół schodzi, czeka kulturalnie, aż ludzie pobiją brawo i wraca.
- Na bisy z *Sag mi wo der Blumen sind?*, czyli Blixa robiący Dietrich, w załączkach kreacji wieczorowej. Potem powrót do tonacji bardziej energetycznej, *Let's do it a Dada*. Tu szkoda, że nie wykorzystali potencjału miejsca i nie zrobili niczego ekstra na *Ich spielte Schach mit Lenin Zurich*. Miałem wrażenie, że wiele osób usłyszało ten kawałek po raz pierwszy w życiu, a szkoda, bo mogło być coś, co sprawiłoby, że koncert stałby się bardziej moskiewski. No nie doszło do drastycznych scen przemocy, chociaż zrobiło się bardziej energetycznie, więc za chwilę znowu coś na uspokojenie (nie uważam, że to najlepsze osadzenie tego, no ale niech będzie).
- [Ostatnim, co grali, było \*Ich Gehe Jetzt\*](#). Nagrałem i wrzuciłem, po paru dniach odkryłem, że link, który prowadził do mojego, prowadzi obecnie do klipu Denisa Morozowa. Stał w pierwszym rzędzie i ma o wiele ładniejsze. Ze względów sentymentalnych sam sobie oglądam ze swojego, szerszym masom udostępniam Denisa. Hacke klaskał z wiolonczelistą do rytmu, klaskało też wiele osób z publiki (z racji uwieczniania tego momentu mogłem sobie tylko tupać). W narodzie leżały takie pokłady energii, że gdyby zagrali np. *Haus der Luege*, to byśmy roznieśli tę budę. Sasza pytała mnie ciągle o wiele rzeczy, więc na jej ostatnie pytanie musiałem odpowiedzieć: koniec. To jest koniec. Już nie wyjdą, to jest koniec koncertu jednej z moich najulubieńszych grup. Blixa ma n-dziesiąt lat, Hacke też, ale to, co oni robią... Marzy mi się taka pasja życia w mym obecnym wieku.

Bardziej personalnie to ujmując: świeczki w oczach miałem jeszcze przed końcem *Kriegsmaschinerie*. Na trzecim kawalku już ryczałem ze szczęścia. Cztery. Cztery lata nie byłem na żadnym koncercie. Na cztery lata wypisałem się z tego świata, może nie do końca z własnej woli. Nie ma niczego lepszego niż stanie w tłumie ludzi, czekanie na koncert, prowadzenie nerwowych rozmów, wkurwianie się na ceny piwa, na kible, na tłok. A potem odjechanie ze szczęścia w momencie, gdy zespół wychodzi i zaczyna grać jakikolwiek kawałek – nie ma znaczenia jaki, bo i tak znasz je wszystkie. Gdzieś tam, bardzo, bardzo daleko w głowie pomyślałem sobie, że kocham Moskwę. Za to szczęście, które mi dała 26 września. Choćby świat miał się skończyć jutro, umrę szczęśliwy, bo emeryci z Niemiec pokazali mi, co można zrobić kompresorem i kilkoma linijkami tekstu o tym, że *Ich Gehe Jetzt*.

Do domu jechałem dobrą godzinę. Zaraz po koncercie było fajnie, bo większość pasażerów pierwszego wagonu metra stanowili ludzie z EN. Mój współlokator powinien sobie dziękować, że wrócił dopiero późnym niedzielnym wieczorem. Wiadomo, że przez następne dni żadnych innych dźwięków z mego leża usłyszeć nie można było.

[24.10.2015]

Wiele, wiele lat temu zacząłem interesować się literaturą rosyjską. Widząc to i korzystając z tego, że bardziej od gier komputerowych interesuje mnie słowo pisane, matka ma podała mi dzieło Wieniedikta Jerofiejewa *Moskwa-Pietuszki*. Było to niemal połowę mego życia temu. Nigdy o facecie nie słyszałem, a w ówczesnych zasobach netu wiele bym o nim nie znalazł. Zachęciły mnie rozmiary dzieła, polazłem kąpać się z książką pod pachą (były to czasy, gdy nie było jeszcze powszechnie wiadome, że kąpanie się jest zbrodnią na środowisku). Dwie godziny później wyczołgałem się pod takim wrażeniem, że jakieś szesnaście lat dalej mi zostało. Gdy pisałem maturę, udało mi się nawet wpleść bohatera tego dzieła do mych rozważań na temat samotności. Po latach stwierdzam, że *Moskwa-Pietuszki* powinna być w kanonie lektur. Pozwoliłoby to rozpalic zainteresowanie słowem pisanym w większej liczbie osób niż obecny wybór literatury, którego głównym celem jest przekonanie młodzieży, że książki to oderwana od życia mordęga.

Dzieło Jerofiejewa przeczytałem kilka razy. Przez jakiś czas była to moja książka na poprawę humoru, potem jakoś zeszła na dalszy plan. Może dlatego, że każdy to czytał, każdy zna i wiadomo, że każdy lubi. W wiele lat później pozwolę sobie zastanowić się, co sprawiło, że tak dla mnie, jak i dla wielu moich znajomych stronicie te tragiczne stały się tak ważne.

W moim świecie Jerofiejew był pierwszą osobą, która wyniosła pijaństwo (wzdragam się nieco przed słowem alkoholizm) do rangi najwyższej. Gdybym dorastał w kręgu kultury amerykańskiej, to pewnie takim odkryciem byłby Charles Bukowski, ale tego poznałem dużo później. No i z całym szacunkiem, gdzie tym symbolicznym toastom Bukowskiego do totalnego pijaństwa Rosjanina? To nawet nie to, że Jerofiejew śmiało i otwarcie pisał o tym, że pije, że się schlał, że urwał mu się film i śpi na klatce schodowej, a w sumie to nie wie za bardzo, gdzie był. Bardziej to, że wyniósł to do rangi sztuki, uczynił to ciekawszym niż siedzenie w bibliotekach i na salach wykładowych. Mimo pochodzenia z raczej dramatycznej sytuacji społecznej jakimś cudem udało mu się opanować język do takiego poziomu, który powala na kolana profesorów filologii rosyjskiej. Jak również stada studentów kierunków wszelakich, nie tylko filologii słowiańskich. Jerofiejew nie dał się nabrać na mit życia radzieckiego, pracy, rodziny i małej stabilizacji, tylko miał na to od początku do końca wywalone. Nigdy nie obchodziło go stanowisko władz, wybrał sobie opcję religijną daleką od panujących trendów, czyli katolicką, nigdy nie miał „porządnej” pracy. Chociaż minęło tyle lat, według mojej wiedzy nie pojawiło się nic podobnego – ani w literaturze rosyjskiej, ani światowej. Wieki całe kładli mi i tysiącom do głowy, że literatura to wielkie opowieści, że wojna, ojczyzna, kontekst społeczny. No jak nie to, to chociaż jakiś Dostojewski, trochę depresji, religii i duszy. W jeden wieczór okazało się, że nie, nieprawda. Wyszło na to, że pijany facet pochodzący z północnej Rosji, który wykończył się na własne życzenie, był w stanie napisać coś o wiele ciekawszego niż całe stada klasyków, choćby dlatego, że słowa w stylu „jebaniec” przewijają się tam wcale nierzadko. Potrzebował na to około 100 stron.

Tak jak kładli mi do głowy, że literatura musi być nudna, beznadziejna, a obcowanie z nią smutnym obowiązkiem, podobnie kładli mi do głowy, że Ruski to wróg. Po tym, gdy sobie

przeczytałem to dzieło, już nigdy nikomu nie udało się przekonać mnie, że Ruski to wróg.

Co sprawia, że *Moskwa-Pietuszki* to dzieło uwielbiane przez tak wiele osób? Chyba najbardziej język i problematyka. Może też tendencja, że ludzie lubią z wyższością patrzeć na „gorszych” od siebie, fajnie jest zobaczyć, że innym też nie wychodzi i nie wstydzą się o tym otwarcie pisać. Do tego pokłady absurdałnego poczucia humoru, które wykracza daleko poza realia Związku Radzieckiego. Dystans do samego siebie i całej rzeczywistości. Całkowite olewanie tego, co ludzie pomyślą. I połączenie tego wszystkiego w dość krótkiej formie.

Gdzieś we wczesnych 2000 pojawił się trend wydawniczy: „Jerofiejew na fali”! Zaczęto wydawać po polsku wszystko, pod czym można było go podpisać. Kupiłem *Dzieła prawie wszystkie*, dostałem w prezencie *Zapiski psychopaty*. Autor umarł schorowany i biedny jak kościelna mysz. Może chociaż wydawcy się nieco poprawiło. Nie sądzę jednak, że kupił lancję i ochrzcił ją nazwiskiem pisarza. Żadne inne strony tego autora nie zrobiły na mnie aż takiego wrażenia jak *Moskwa-Pietuszki*, chociaż dzięki *Zapiskom psychopaty* mogłem na prawach cytatu informować koleżankę, że ma „pizdę jak wiaderko”. A czasem zeznać, że „Wisi mi świat równo/wisi mi to, że jestem gównem”.

Cały dorobek pisarski Wieniedikta Jerofiejewa można spakować do tylnej kieszeni spodni, no może dwóch. Nawet jeżeli zechcemy wziąć ze sobą dzieła takie, jak *Noc Walpurgi* i *Fanny Kapłan*. To są cudowne pomysły, które mogłyby zyskać, gdyby autor nad tym posiedział. Niestety, tak się nie złożyło. Jerofiejew pracował na kilkadziesiąt różnych stanowiskach, żadne jednak nie było związane z pisaniem. Legendy głoszą, że napisał bardzo wiele, ale większość z tego pogubił. Może więc nigdy nie było dane ujrzeć nam czegoś jeszcze lepszego niż *Moskwa-Pietuszki*. Trudno w to uwierzyć, ale skoro poemat prozą napisał, kładąc kable, to może jakaś inna posada była równie inspirująca.

Pewnego sierpniowego dnia jechaliśmy z kolegą pociągiem relacji Symferopol-Lwów, ta urocza przeprawa trwała bodajże 26 godzin. Był rok 2004. W ramach hołdu postanowiliśmy przeczytać dzieło po rosyjsku, podążając za bohaterem, a zwłaszcza za wskazówkami spożycia. Zamiast wina xeres i wysublimowanych rodzajów alkoholi korzystaliśmy prymitywnie z wódki. Sukcesu wielkiego nie było, poza tym, że w godzinach popołudniowych i koło 30 strony padliśmy z przepicia. Chociaż w świetle dokonań bohatera i autora chyba należy uznać to za pewne osiągnięcie i odpowiednią formę wyrażenia szacunku.

Każdego roku różne państwa wydają solidne pieniądze na jakieś mityczne promowanie się. Gwarantuję Federacji Rosyjskiej, że nie musi, niech sobie oficjałowie przewalą te pieniądze na dziewczynki i dacje. W zamian niech wyślą kilka osób, żeby pogadały z bezdomnymi na różnych dworcach. Rozmowy te mogą przynieść takie efekty, że znajdzie się jeszcze paru pisarzy, którzy mają notatniki pełne niezgorszych zapisków.

Jerofiejew jest fenomenem raczej słowiańskim. Nie spotkałem nigdy człowieka Zachodu, który znałby autora i jego dorobek. Istnieją przekłady, ale chyba nawet brytyjscy hipsterzy tego nie czytają.

Kilka tygodni temu miałem lekcję, w której padało pytanie o ulubione książki. Na cztery dorosłe osoby, dwie stwierdziły, że absolutnie najgorszą książką, jaką w życiu czytały, była *Moskwa-Pietuszki*. Zeznano, że jest to bezsensowny bełkot. Nie dostrzegano absolutnie żadnych powodów, które miałyby wyjaśniać popularność dzieła pośród ich znajomych. Jedna osoba dodała, że mimo umiarkowanie pokaźnych rozmiarów dzieła, nie udało jej się go

przeczytać do końca.

Buduje jedno: czym Rosja by nie była, szacunek dla pisarzy tu występuje. Dlatego też Jerofiejew doczekał się pomnika przy stacji metra Miendielejewskaja. Po jednej stronie ulicy stoi pijany Jerofiejew, z walizką, opiera się o tablicę „Moskwa”. Po drugiej przy tablicy Pietuszki jest jego Dulcynea, z warkoczem od karku do pupska. Drugi pomnik ma w Pietuszkach.

Browar produkujący piwo Żygulowskie powinien każdego poranka składać hołd Jerofiejowi. Z racji miejsca w jego twórczości, piwo Żygulowskie jest stałym punktem na mojej liście zakupów. Samo w sobie jest fatalne, ale magia nazwy (zwłaszcza dla Polaka) sprawia, że gdy zamawiam przy barze lub akurat jestem przy tej półce w markecie, czuję obowiązek kupienia przynajmniej jednego. W 2002 roku kosztowało grosze i miało cudownie prząsną etykietę. Niestety zatrudniono jakichś specjalistów od wizerunku i obecnie wygląda „normalnie”, do tego porobiono nieco bardziej wysublimowane serie dla hipsterów. Jerofiejew zapewne brzydziłby się to wypić. Pewnego dnia spróbuję stworzyć drina „Suczy bebech”. A jeżeli przeżyję, to jeszcze „Łzę komsomołki”.

Gdybym miał tu zapisać moje ulubione cytaty z poematu prozą, to wpis ten byłby plagiatem. Musiałbym wlepić całe dzieło, od przedmowy po „nigdy już nie powrócę”, a nawet po „1969 roku”. Pozwolę sobie jedynie zasugerować dwa zadania na maturę z matematyki 2016:

„Kiedy okręty amerykańskiej Siódmej Floty zakotwiczyły na stacji Pietuszki, partyjnych dziewcząt tam nie było, no ale jeśli komsomołki można uznać za partyjne, to co trzecia była blondynką. Po odbiciu okrętów Siódmej Floty okazało się, co następuje: co trzecia komsomołka została zgwałcona, co czwarta zgwałcona okazywała się komsomołką, co piąta zgwałcona komsomołka była blondynką; co dziewiąta zgwałcona blondynka okazywała się komsomołką. Jeżeli wszystkich dziewcząt jest w Pietuszkach czterysta dwadzieścia osiem – oblicz, ile pozostało nietkniętych bezpartyjnych brunetek?”

„Wybitny przodownik pracy Aleksiej Stachanow dwa razy dziennie chodził za małą potrzebą i raz na dwa dni – za dużą. A kiedy zdarzyło mu się zalać pałę, cztery razy dziennie chodził za małą potrzebą i ani razu za dużą. Policz, ile razy w roku przodownik Aleksiej Stachanow chodził za małą potrzebą i ile razy za dużą przy założeniu, że przez 312 dni był naprany.”

Ilekroć patrzę na jakikolwiek cytat, trudno mi się powstrzymać, żeby nie przeczytać całości. Jeżeli ktoś nie wie, to zagadek Sfinksa jest nieco więcej. Właściwie każda strona jest tak obłędna, że chce się czytać całość. Bohater dzieła nie dowiózł swoich prezentów do Pietuszek. Nie możemy wręczyć ich za niego. Możemy jednak podziękować autorowi za to, że napisał, co napisał, a tym samym stał się inspiracją po wsze czasy dla nas i setek innych ludzi. Z racji sytuacji geopolitycznej być może pewnego dnia uda mi się wsiąść do elektryczki i przejechać nieco ponad sto kilometrów, w czasie podróży przeczytać wiadome dzieło, oczywiście spożywając przy tym zalecane ilości trunków wszelakich. Potem wysiąść w Pietuszkach i pójść w ślady starszego rewidenta Siemionycza – „Przez moment stał jeszcze, chwielejąc się niczym trzcina myśląca, a potem gruchnął pod nogi wysiadającym pasażerom i wszystkie karne gramy za przejazdy bez biletów trysnęły z jego trzewi, bryzgając po peronie...”.



[2.11.2015]

Jeżeli kiedyś zadawaliście sobie pytanie, czemu gry ze Związku Radzieckiego nie podbiły świata, to odpowiedź na to pytanie można znaleźć w muzeum radzieckich automatów do gry. Mieści się ono w samym centrum miasta, przy ulicy Kuzneckij Most 12.



*Tu jest ich siedziba, człowieku*



*Muzeum sowieckich automatów do gier*



Płacimy 500 rubli i dostajemy dwadzieścia piątków o nominale 15 kopiejek, tyle właśnie niegdyś kosztowała ta przyjemność. Na każdej monecie dyżurny sierp i młot.



*Ta grafika! Ta technologia!*

W dzieciństwie odwiedzałem salony gier i gdyby mi wtedy dano takie polowanie na zające, jakim zaszczycono radzieckie dzieci, to chyba bym tam więcej nie przyszedł. Na wielu automatach jest napisane, że coś może nie działać lub że działa losowo. Mam wrażenie, że w czasach ich świetności było podobnie. Oparte są one bardziej na zasadach mechaniki niż cybernetyki.



*Ta zabawka raczej nie zainspirowała twórców filmu Gry wojenne...*

Poziom absurdu może człowieka pokonać, w grze w jeżdżenie czołgiem podjeżdża się do przeciwnika, by go zabić. Lampka zmienia kolor, zniszczony. Odpalanie torped z łodzi podwodnej – nie pojąłem, jak działa, wciskać można wszystko i nic się nie dzieje. Strzelanie do kaczek – na dwadzieścia strzałów nie trafiłem niczego, a przynajmniej automat mi nic nie zaliczył. Samoloty – celownik nie chce iść za nic poza połowę ekranu, więc razić można było jedynie środek i prawą stronę. Świetliste zające kicają sobie, okazjnie pojawia się kuna lub wiewiórka. Nie trafiłem niczego, osoba po mnie też nie. Dość szybko przechodzi się w tryb uśmiechu nad całym zagadnieniem.



*Widok z pięterka. Jak widać niektórym odwiedzającym atmosfera miejsca wydała się romantyczna*

Miejsce ma w miarę fajny klimat, są automaty z wodą sodową z epoki, jest stara budka telefoniczna. Cena jest jednak nieco przesadą, można trochę czasu spędzić, ale poziom gier sprawia, że powyżej dziesiątej szedłem raczej dlatego, że miałem jeszcze monety, a nie bo mnie to przesadnie bawiło. Pomysł sam w sobie jest ciekawy i raczej unikatowy. Najlepiej iść we dwójkę i podzielić się monetami. Obsługa raczej nie rzuci się, że każdy ma wydać te pięć stów, a w ten sposób można za nieco mniej odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego na rynku rozrywki elektronicznej japońskie

firmy odniosły sukces, a sowieckie nie. Bo tych cholernych świecących zajaków i tak nikt nigdy nie ustrzeli...



– Panie prezesie, tam na Zachodzie grają w piłkarzyki!

– No to my zrobimy hokeistów!





*Miała baba koguta, koguta, hej...*



*Szkoda że nie Videodrome...*



*Była Zbrodnia i kara. Była Duma i uprzedzenie. Teraz nadszedł czas na... Puch i pierze!*

[27.12.2015]

Już jakiś czas temu zorientowaliśmy się, że wiele muzeów w Moskwie ma dni otwarte, w które za wstęp nie trzeba płacić. Często jest to trzecia niedziela miesiąca. Zostawiamy więc sobie miejsca potencjalnie mniej powalające na ten czas. Sam dojazd często bywa wyzwaniem, a nie wszystkie obiekty zdejmują kask, więc skoro mieszkamy w Moskwie na stałe, to czemu nie skorzystać? Z takim nastawieniem udaliśmy się do Muzeum Realistycznej Sztuki Rosyjskiej. Oczekiwania mieliśmy zerowe, a muzeum wpadło w naszą orbitę zainteresowań, bo darmowy wstęp ma w ostatnią sobotę miesiąca. Napisaliśmy do dwóch znajomych osób, jedna powiedziała, że nie ma odwagi, druga zgodziła się popełnić tę głupotę z nami.

Do muzeum da się stosunkowo łatwo dojść ze stacji Paweleckaja/Paveletskaya. Strona obiektu oferuje wskazówki, które są wcale niezłe, więc w jakieś 10-15 minut dociera się do dystryktu biznesowego, gdzie też mieści się to чудо. Stawiam dolary przeciw orzechom, że za poprzedniego systemu były to zakłady pracy robotniczej, a obecnie to centrum biznesowe. Muzeum mieści się dość centralnie, więc którym wejściem nie wbijemy, to chwilę iść będziemy. Nam udało się znaleźć je dość szybko, ale nasza koleżanka solidnie pobiła, więc w oczekiwaniu na jej przybycie zabijaliśmy czas, robiąc sobie zdjęcia z jołką. Co ciekawe, obok jołki była tabliczka zachęcająca do focenia na całego i wrzucania tych wzruszających obrazów na Instagrama. Był nawet specjalny tag dla fanów jołki w Muzeum Realizmu. Obok było hasło do wifi, więc można było na bieżąco lansować się na dowolnym portalu

społecznościowym. Pytaniem jest, czy ktoś chciałby przyznać się, że był w tym pięknym miejscu.



Muzeum oferuje zwiedzającym trzy piętra realistycznej sztuki rosyjskiej. Są to arcydzieła malarstwa nieznane nikomu poza autorami i może ich rodziną, bo chyba nawet nie przyjaciółmi (tych by stracili, gdyby im pokazali, co też urodzili). Tematyka: życie codzienne, a przede wszystkim praca. Ponieważ obrazy są warte więcej niż tysiące słów, niech przemówią.





*Sielanka po rosyjsku: pieseczki, strzelba, papieros, pogoda, która nie występuje przez 11 miesięcy w roku*



*Ostatni mieszkańcy wsi. Jest facet z papierosem. Jest kot z powyłamywanymi nogami. Jest pani z siekierą (bardziej z lewej). Czegóż chcieć więcej?*





*Dzieci wręczające kwiaty, arcydzieło sowieckiego realizmu, ja w ekstazie, Stalin całkiem kontent, tylko Solżenicyn jakiś zde gustowany*



*To musi być najnudniejszy obraz świata. Nie wyobrażamy sobie, żeby ktoś mógł stworzyć jeszcze nudniejsze dzieło*



Klasyk radzieckiego dowcipu głosi:

– *Jak to jest polecieć Aerofłotem?*

– *To tak jak odbyć stosunek z tygrysem: trochu śmiesznie, trochu strasznie.*

W tę poetykę wpisuje się to muzeum. Nie powiemy nikomu, że powinien dać za to pieniądze, bo gdybyśmy to zrobili, to moglibyśmy mieć w kimś wroga. Są to po prostu takie jaja jak globusy, że idzie sobie usiąść. Jakieś impresjonistyczne próby oddania życia na ruskim zadupiu, sianokosy i traktory. Chujem wieje, ale jednak nie aż tak na całego, żeby paść ze śmiechu. Jest w tym cała galeria obrazów bezpiecznych, czyli przedstawiających np. wodę lub krajobrazy. Rosja ma wielką tradycję pejzaży, ale nie została ona przesadnie wzbogacona przez obiekty znajdujące się w tym muzeum. Kiedy słyszy się słowa „sztuka realistyczna”, to miłośnik sztuki pomyśli raczej o grupie Pieredwiżników działającej na przełomie XIX i XX wieku, a nie o jakimś baranie malującym syberyjskich wieśniaków w latach 70. XX wieku.

No i jest Stalin, z solidnie odchudzonym Chruszczowem. Po stronie plusów: nawet w dniu darmowego wstępu mieliśmy cały ten obiekt jedynie dla siebie. Jeżeli akurat odwiedzacie Moskwę i widzieliście już wszystko, a potem nie wiecie, co zrobić ze sobą, to można, są i gorsze muzea. Stworzono pewną zachętę, żeby odwiedzić to cudo w środę przed 14: od 14 do 14:15 jest darmowy lunch.



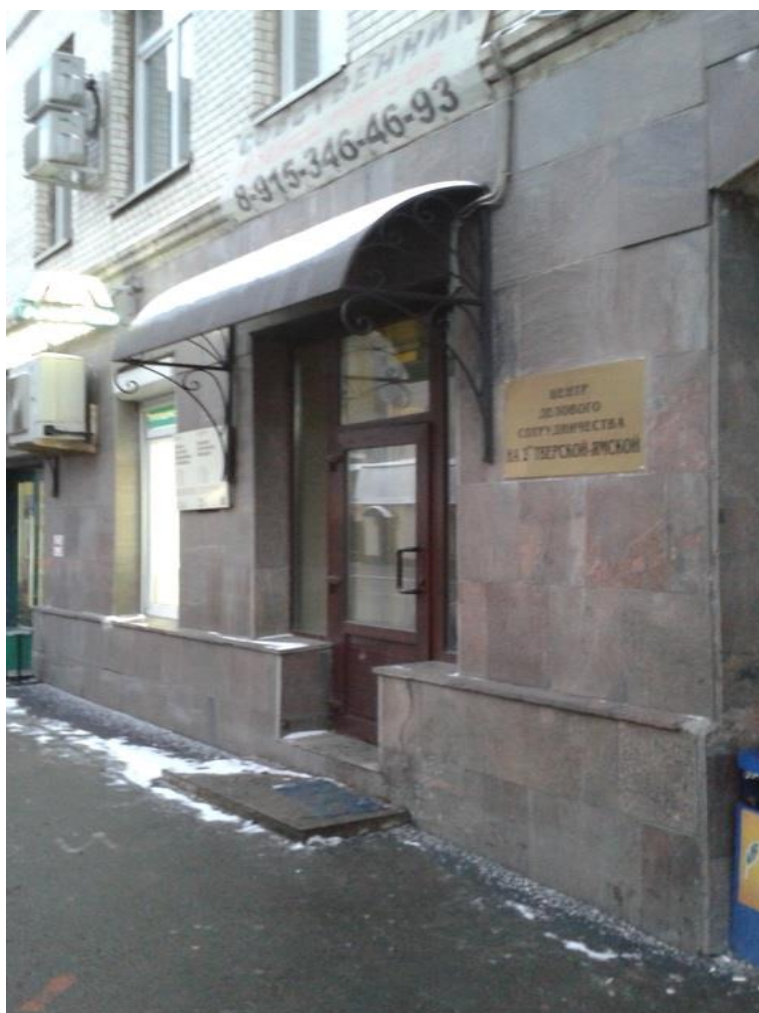
Chciałbym napisać coś dobrego o tym miejscu, więc napiszę, że toalety są super – chyba jedno z najczystszych i najbardziej zadbanych w Moskwie. Szatnia również trzyma fason. Sklepik muzealny to też pewne dzieło sztuki: mając tak straszne eksponaty, udało im się zrobić coś z niczego i parę rzeczy nie odraża. Obsługa jest miła i pomocna... Ale nie, nie idźcie tam!

## Ja igraju na garmoszkie...

[7.01.2016]

Wiedziałem, że prędzej czy później znajdę najlepsze muzeum Moskwy i nie będzie to żaden Maneż ani Kreml. To wielkie wydarzenie miało miejsce 7 stycznia, czyli w prawosławne Boże Narodzenie.

Miasto stołeczne Moskwa ma akcję, której chce się przyklasnąć: od 1 do 10 stycznia 2016 roku wiele muzeów jest za darmo. Czyli hurra! Szał zwiedzania!!! Niestety, nie do końca. Z racji tego, że wiele osób ma wolne, na samotność nie można narzekać. Dorośli wspólnie z dziećmi ruszają na podbój rozlicznych atrakcji. Odwiedzających czekają więc kolejki nierzadko dość epickich rozmiarów. Może całego *Cichego Donu* w nich się nie przeczyta, ale już takie *Martwe dusze* może się udać. Coś mi jednak mówiło, że w wybranym przeze mnie miejscu tłoku nie będzie. Obiekt mieści się przy ulicy Twerskaja-Jamnaja 18, czyli dość centralnie, kilka minut piechotą ze stacji metra Majakowskaja. Znaków spodziewać się nie należy, a i wejście od ulicy przesadnie udekorowane nie jest. Trzeba przejść koło pana ochroniarza, wejść po schodach na drugie piętro i już można nacieszyć się...



....jeszcze chwila cierpliwości...



... MUZEUM AKORDEONU!!!



Harmoszkka jest jednym z najbardziej pociesznych instrumentów świata. [Oto wielki koneser tego instrumentu.](#) Moja cała przygoda z akordeonem ogranicza się do jednej pijatyki z Gruzinami, podczas której ktoś dobył tego instrumentu. Tak mi się spodobało, że cały wieczór z nim siedziałem, ale tajników grania nie opanowałem. Przez chwilę zastanawiałem się potem, czy sobie nie kupić, ale jestem amuzykalny, do tego wożenie akordeonu po świecie nie wydawało mi się najlepszym pomysłem. Gdy jednak zobaczyłem, że w Moskwie jest muzeum harmoszki, postanowiłem odświeżyć przyjaźń z tym instrumentem.





*Jest najważniejsze, czyli Muzealne Ochraniacze Na Obuwie*

Harmoszka jaka jest, każdy wie. W muzeum w kilku pokojach zgromadzono dość pokaźną kolekcję tych instrumentów. Są więc harmoszki o różnych kształtach, kolorach, datach produkcji i z różnych krajów. Przy okazji starano się przybliżyć rolę tego cudownego instrumentu w historii Rosji. Zebrano pokaźną kolekcję literatury przedmiotu z całego świata. Wzruszają zdjęcia ludzi z harmoszkami z różnych zakątków kraju, w tym takie sprzed kilkudziesięciu lat z Syberii. Są foty z wydarzeń nieco bardziej współczesnych. Załapało się też nieco malarstwa na wiadomy temat. Cały obiekt to zasługa jednego człowieka, Alfreda Mirka. Jego zdjęcie znajduje się na honorowym miejscu.

Oczywiście jest też jego harmoszka, a także maszyna do pisania.



*Temu panu to zawdzięczamy!*





*Wspaniałe eksponaty!*



*Dumni mieszkańcy syberyjskiej wioski prezentujący swą harmoszkę*

Trudno napisać coś więcej o samym muzeum. Jak kuriozalnie by to nie brzmiało, chciałbym częściej trafiać do miejsc zrobionych z tak niesamowitą pasją. Bije ona z każdego przedmiotu, aż chce się chwycić za instrument i zacząć grać. W życiu bym nie wpadł na to, że gra na harmoszce może mieć dla ludzi wymiar niemal mistyczny. Chyba pierwszy raz w życiu widziałem *tableaux* pracowników muzeum, w tym szatniarek. Wiele z tych osób miało zdjęcia

ze swoimi instrumentami, wiadomo, że nie skrzypcami, więc wszystko wygląda na owoc pasji, któremu trochę pomaga państwo. Znawcy tematu mówią, że ta placówka kulturalna jest naprawdę cennym obiektem propagującym kult akordeonu. Przejście całości zajmuje góra ze dwadzieścia minut, ale ubaw jest cudowny. Wyglądało też na to, że mają jakieś eventy, więc zapewne dobrze sobie wybrać taką godzinę odwiedzin, żeby akurat coś się działo.

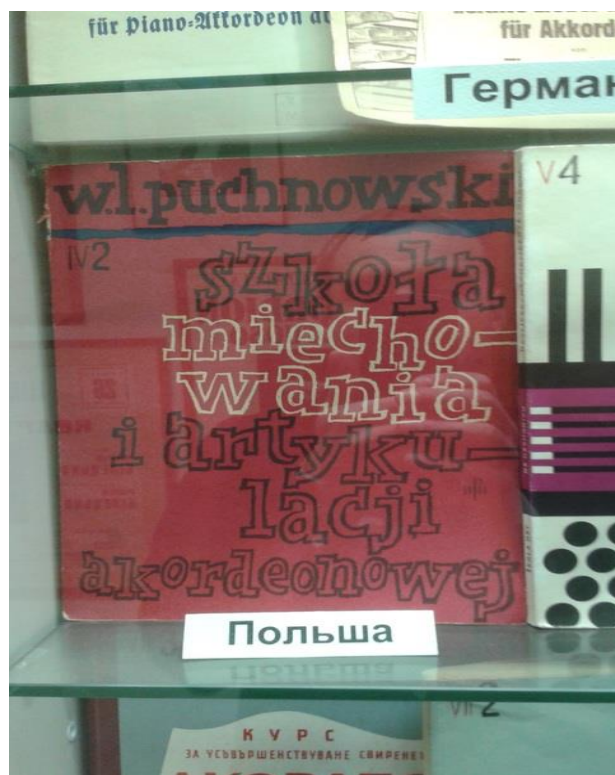


*Harmoszka – Dusza Rosji!*



*Saratowskie Harmoszki*





*Polski akcent na wystawie!*



*GONKONG!!!  
Słyszę „Gonkong”. Myślę „Harmoszka”!*



*Pracownicy muzeum. Mamy nadzieję, że nie pominięto nikogo. W końcu są nawet panie szatniarki*

O muzeum mogę mówić w samych superlatywach, jednak obsługa to już nieco inny temat. Pan ochroniarz i pani szatniarka byli bardzo mili, ale pani pilnująca ekspozycji była łaskawa opieprzyć mnie dwa razy za robienie zdjęć. Najpierw za to, że robię zdjęcia zdjęciom, bo tak nie wolno, wolno robić tylko zdjęcia ogólne. Drugi raz wydarła się na mnie, gdy robiłem zdjęcia akordeonom, bo tak nie wolno, wolno tylko zdjęcia ogólne. Nie wiem niestety, jaka jest jej definicja zdjęcia ogólnego, ale miałem ochotę chwycić jakąś harmoszkę i zobaczyć, czy jej się zmieści do ogólnego otworu gębowego.

Wiśnią na torcie jest sklepik z pamiątkami. Towary są dość losowe, jest harmoszka, są apaszki, brakuje t-shirtów z napisem „Garmoszka drinking team”, ale udało mi się wypatrzeć cudowne pocztówki, prawdopodobnie stworzone jeszcze przed moim narodzeniem. Wtedy dowiedziałem się, że sprzedająca poszła zapalić i że jak się upieram, żeby je kupić, to mam sobie poczekać. Usiadłem więc pod telewizorem, który wyświetlał cudowne treści dotyczące tego, że w latach 90. terroryści planowali zniszczyć USA, ale zmienili swe plany na niszczenie Rosji. Potem był materiał, że w nadchodzącym roku USA i Kanada przestaną istnieć, bo wybuchnie Yellowstone i zniszczy całą Amerykę Północną. Niestety więcej o świecie się nie dowiedziałem, bo sprzedająca przyszła i łaskawie sprzedała mi kartki.



*Jak widać, istnieje jedyne słuszne wzornictwo kartek pocztowych...*



[21.02.2016]

Jest wiele sposobów na zrobienie sobie dobrze. Od wielu lat uważam, że jedną z lepszych opcji są musicale. W cudowny sposób łączą one aspekty muzyczne, wizualne i fabularne paru dyscyplin sztuki, tworząc tym samym najbardziej absorbującą z jej wszystkich form (subiektywna opinia autora).

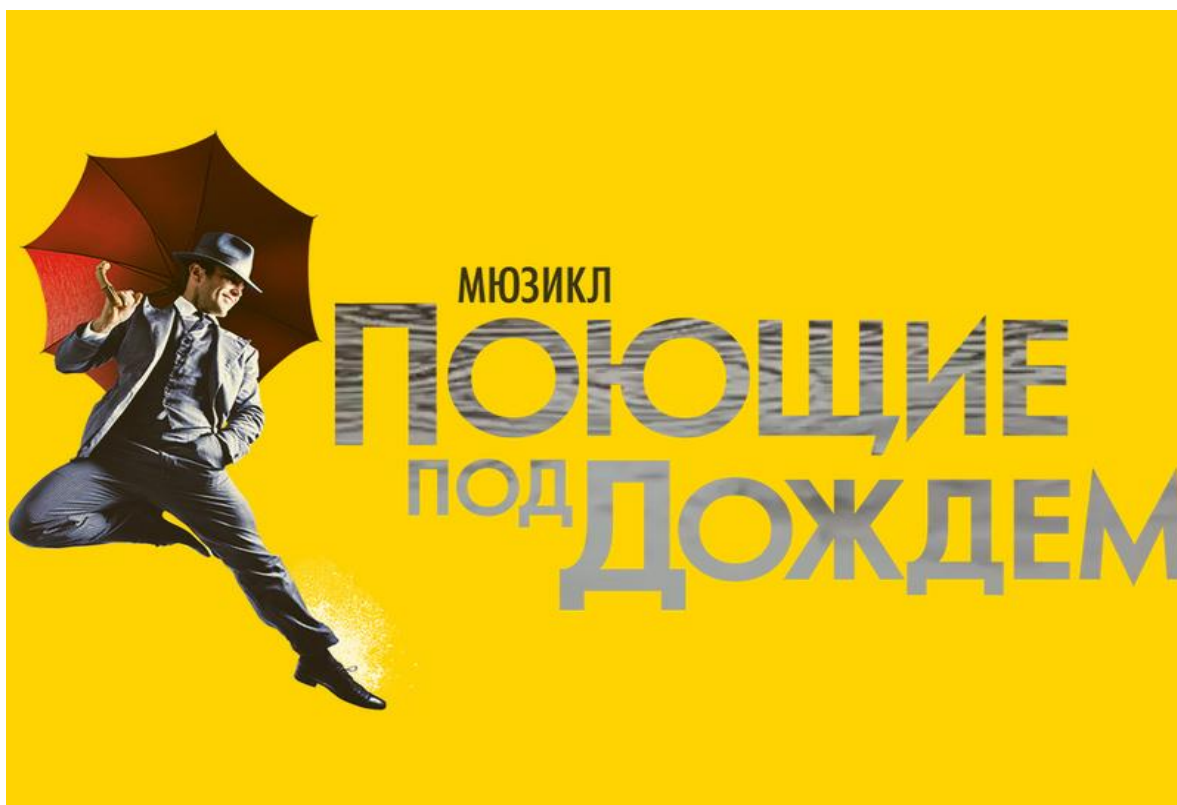
Moskwa nie jest Londynem, Paryżem, Nowym Jorkiem i nie jest też Berlinem. Szczęśliwie, nie jest też Pekinem ani Warszawą. Po kilku miesiącach wychodzi nam, że Rosjanie kochają musicale. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że na ulicach wiszą billboardy informujące o tym, że będą śpiewać i tańczyć, a bywa, że nawet metro zaprasza na występy? Strony internetowe też dbają, żebyśmy byli na bieżąco. Nie ma chyba człowieka w Moskwie, który nie wiedziałby, kim jest *Graf Orłow* lub gdzie się zgłosić po „bryzgi szczęścia”.

Jedną z rzeczy, które nas dobijały w Chinach, był całkowity brak wydarzeń kulturalnych. Relokacja do Moskwy sprawiła, że problem ten przestał istnieć. Wydarzeń jest tyle, że można zwariować od ich przeglądania. W efekcie weekendy nie są czasem, kiedy pije się smutne piwo z sąsiadem, a dniami, kiedy jedzie się gdzieś i cieszy obcowaniem z filmem, muzyką lub aktorstwem. W wersji deluxe: kombinacją wyżej wymienionych.



Na pierwszy strzał poszedł szeroko reklamowany *Graf Orłow*. *Graf* to po naszymu Hrabia, ale ta wiedza nie wystarczy do nacieszenia się dziejami tytułowego zawodnika. Nie wiedziałem, na co się porywam. W tym dziele wszystko jest śpiewane po rosyjsku (niespodzianka...) i nie starano się, żeby było łatwo zrozumieć (niespodzianka numer dwa). Poważniej nieco, ilość dialogów jest bardzo znikoma, wszystko jest wyśpiewywane i wytańczone. Ogarnąłem może z połowę, wiele zgadywałem i jakoś tam odcyfrowałem losy Grafa i różnych kobiet, które się przewijały przez jego karierę. Mimo pewnych kłopotów natury językowej, po jakichś dwóch godzinach z lekkim okładem wyszedłem dość zachwycony. Pierdolnięcie było,

a do tego pomyślano i im bliżej końca, tym bardziej masowano zebranych zwoje mózgowie rozbudowanymi układami tanecznymi. Ma to fajną strukturę, mniej więcej idzie ona tak: jebut – zwolnienie – jebut – zwolnienie – jebut – jebut. Muzycznie jest to nieco bardziej wysublimowane niż ten plastyczny opis. *Graf Orłow* jest dumą placówki, grają go już parę sezonów i bije kolejne rekordy, w tym dekoracji scenicznych (mają trzy piętra). Dla mnie wygrał motyw przewodni, który jest tak chwytliwy, że do dzisiaj go czasem słyszę. Gdy skończyła się część oficjalna, ludzie bili tak burzliwie brawa, że w nagrodę wykonano jeszcze jeden kawałek. Jest to zwycięzca wszystkich musicali, które miałem przyjemność zobaczyć w Moskwie. W telegraficznym skrócie: bizantyjski przepych, hałas, kolory, stada na scenie, rozbuchane układy taneczne.



Potem byliśmy na *Pajuszczye pod dożdżem*, czyli *Singing in the Rain*. To akurat nie jest dzieło osadzone w realiach Rosji ani Związku Radzieckiego, ale zdecydowano się jednak na przybliżanie go moskiewskim elitom kulturalnym. Z jednej strony wiadomo, czego się spodziewać. Z drugiej trochę szkoda, że zerżnięto wszystko i to chyba nawet bez pytania o pozwolenie. Na pociechę jest to, że naprawdę było pierdolnięcie i działa się niemało. Fabularnie wiele nas nie zaskoczy, jeżeli znamy film, w wersji tutejszej dołożono jedną piosenkę. Dzieje się w tym do tego stopnia, że siedzący w pierwszych kilku rzędach dostają peleryny – podczas tytułowego kawałka na scenę pada deszcz, a bohater dokłada starań, żeby reklamowe „bryzgi szczęścia” spotkały jak najwięcej zebranych. Tu też na koniec wykonano bonusowy kawałek, akurat tytułową piosenkę, która brzmi dość pocieszenie w wersji rosyjskiej. Jeżeli ktoś kocha ten musical, to się popłacze ze szczęścia, już na kilka metrów przed wejściem do teatru są parasole i obrazki z epoki. W środku też pełno asortymentu związanego z tym okresem historii

kina. Dla mnie akurat nie jest to najlepszy musical świata, ani piosenkowo, ani fabularnie, ale i tak zapisuję po stronie: warto. Musical ma swoją stronę, na mieście jest pełno billboardów, a rosyjski jest na poziomie raczej przyjaznym dla użytkownika, więc tu szczęśliwie rozumiałem niemal wszystko. Nawet jeżeli by się niczego nie rozumiało, to entuzjaści nie będą mieli problemów. Chyba największym problemem jest to, że myśl za tym stojąca jest taka: znacie? Znamy! To oglądajcie! Kontentu rosyjskiego/sowieckiego całkowicie brak, tylko ten zgniły Hollywood i korupcyjne dewiacje, oczywiście całkowicie obce ZSRR.



*Monte Christo*, a raczej *Monte Kristo* reklamowali już na kilka miesięcy przed rozpoczęciem serii pokazów, dodatkowo podkreślając, że tych przedstawień to za wiele nie będzie. Zastanawia, czemu nie *Graf Monte Kristo*, ale może przez to, że już mają na stanie Orłowa i uznali, że jeden Graf na jeden teatr operetty wystarczy. Zastanawiałem się, jak dadzą sobie radę ze sceniczną adaptacją książki, która ma swoje kilka stron. Pocięto to dość solidnie, znajomość oryginału się przydaje, zwłaszcza jeżeli nie rozumiemy wszystkiego, co też śpiewają – poziom trudności między *Orłowem* a *Dożdżem*. Pierwszy akt obejmuje początkowe 10% książki, więc na drugie sześćdziesiąt minut zostało w diabły. Mimo wszystko ma to ręce i nogi, nie jest to jakaś adaptacja szaleńca, który nie wiedział, o co chodzi i wszystko zapętlil poza poziomem dostępnym śmiertelnikom. Dla mnie największą bolączką był tytułowy bohater, który wypadł umiarkowanie charyzmatycznie, może dlatego, że aktor go grający wydawał się być głównie skoncentrowanym na tym, żeby dobrze wyglądać i roztaczać aurę zajebistości, a jedno i drugie średnio mu wychodziło. Drugie plany są o wiele lepsze, zwłaszcza brzuchaty pomocnik, ilekroć zaś bohater tytułowy walił solo, to robiło się solidnie tak sobie. Brzmiał nieco jak Filip Kirkorow, a kto wie, kim jest Kirkorow, wie też, czym jest cierpienie. Trochę więc siara, że tytułowy bohater zamiast powalać na kolana, zabijać i deklasować, wywoływał raczej niezamierzone współczucie, gdy poginał sobie w lateksowym płaszczyku. Jako całość zdecydowanie nie katastrofa, ale też nie ekstaza, chociaż lokalna publiczność wydawała się zachwycona. Odtwórca tytułowej roli dostał kwiaty i wielką owację, ale największą i tak zebrał



oddział akrobatyczny. Tu też na dekoracjach nie oszczędzano, zmienia się, jest dużo i kolorowo, są multimedia, no bajka. Siedząca koło nas nastolatka pisała z wrażenia i nagrywała komorą, co też się tam nie działo. Ogólnie doświadczenie na plus, ale subiektywnie sprawę ujmując, najmniej powalające z trójcy.

Byłem w życiu na kilku musicalach. Nigdy jednak nie byłem na trzech na przestrzeni czterech miesięcy. Idzie przykleknąć z wrażenia przed tym, że zainteresowanie widzów jest takie, że teatry mogą pokazywać to wszystko cyklicznie, a na publice nie wieje wiatr. Ba, wszystko wykupione dość solidnie, w niektórych przypadkach do niemal ostatniego miejsca. Nie jest to bynajmniej koniec oferty teatrów, ale chyba jeszcze nieco wody upłynie w Moskwie, zanim odważę się iść na musical o *Dziwnych losach Jane Eyre*. W jednym z następnych odcinków: tańce, hulanki, swawole, czyli... balety.

## Na wystawkę do Muzeum Architektury

[27.03.2016]

Wielu podróżników ma poczucie, że dotarło do jakiegoś miejsca o kilka lat za późno. Że gdyby odwiedzili je wcześniej, to suma ich doświadczeń wyglądałaby inaczej. Jakoś tak jednak składa się, że zazwyczaj ludzie piszą tak o Tajlandii lub Laosie, nieco rzadziej o Kambodży. I nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak napisał o Federacji Rosyjskiej.

Od 17 marca do 17 lipca moskiewskie Muzeum Architektury prezentuje wystawę dotyczącą moskiewskiego metra (trudno, żeby promowali jakieś inne). Trwają starania, aby części ciągu komunikacyjnego wpisać na listę UNESCO. Z tej okazji postanowiono przybliżyć mieszkańcom rozliczne oblicza tegoż. Za jedyne 250 rubli (oczywiście są zniżki dla *pensjonerów*) możemy nacieszyć swe oczy szkicami stacji metra. Pod względem rozmiarów wystawa ma słuszną linię: kilka wielkich sal dokumentujących chronologicznie rozwój metra i jego stacji. Zdjęcia, szkice, projekty, szkice projektów, zdjęcia szkiców i projekty szkiców detali.



*Zajawka ze strony internetowej muzeum. Wybaczmy autorom grafiki to, że nie potrafią stawiać spacji po przecinku*

Pierwsze wrażenie jest świetne: ooo, metro. Drugie w porządku: o, metro. Trzecie: metro. Czwarte: aaa, metro. Piąte: kurwa, metro. Szóste: kurwa. Jest i siódme: daleko jeszcze?



*Projekt stacji Arbatskaya*



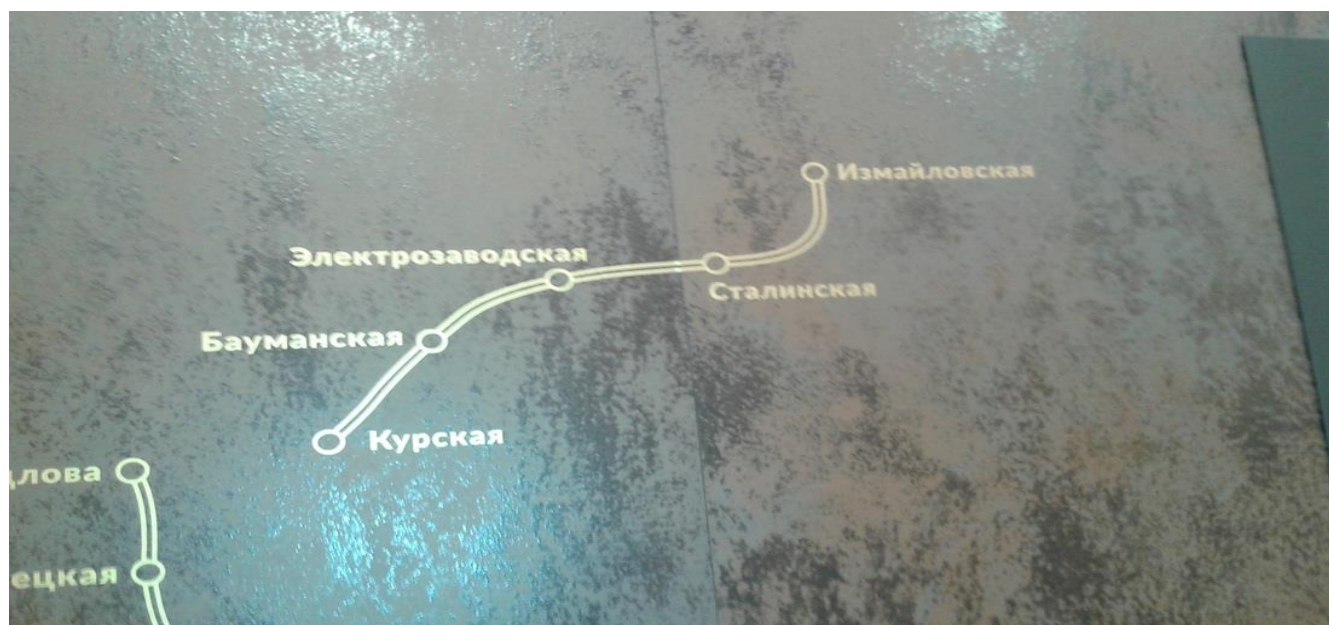
*Ale za to można było palić*

Mając w pamięci, jak bardzo wywalone w kosmos były plany mauzoleum Lenina, nie mogliśmy uwierzyć, że cała kreatywność artystów poszła w projektowanie sześcianów koło sześcianów. Zapewne z racji reakcyjności pewnych środowisk, nawet Lenina nie było za wiele.

Trochę nam poprawił Kaganowicz, no ale to jednak rezerwowo, podobnie Nogin. Wierzmy, że w latach 30. żyli jacyś ludzie, którzy robili projekty stacji rodem z Międzynarodówki i z dorodnym Noginem, potem ze Stalinami i Leninami, a w 60. z Gagarinami. Niestety, pod tym względem wystawa jest dość standardowa. Szkice przestają powalać po jakimś dziesiątym, a jest ich o wiele, wiele więcej. Historia metra urywa się na linii piątej, czyli kołowiec, tym samym dając pewne poczucie całości. A także frustracji tym, którzy mieszkają na siódmej linii i mieli nadzieję dowiedzieć się nieco więcej o tym, skąd, jak, gdzie i kiedy wymyślono, że ich stacja nazywa się Oktyabrskoye Pole, a na końcu linii jest Planernaya, a pomiędzy Tuszyno.

W czasie oglądania tych projektów narodziło się w nas poczucie, że wiele nam umknęło, bo jesteśmy w Moskwie 2016, a nie 1952. Niestety współcześnie, korzystając z metra, nie mamy możliwości odwiedzenia stacji Stalinskaya.





*Serce płacze z żalu!*

Nie ma Zakładów imienia Stalina. Nie ma Stadionu imienia Stalina (obecnie Partizantskaya, planowana stacja w pobliżu będzie się zwała Izmailowo – jeżeli kiedyś powstanie). Przeszliśmy więc wystawę, spojrzeliśmy na siebie i zrozumieliśmy, że z racji tego, że tak późno się urodziliśmy, nigdy nie będzie dane nam wysiąść na Placu Dzierżyńskiego, pospacerować w stronę Placu Nogina, a potem jechać na stację Stalinskaya, czy choćby na stadion imienia Stalina.

Temat projektów moskiewskiego metra jest dość żywy w internecie. Kto wie, czy zasoby wirtualne nie są nawet ciekawsze od tych, które zaprezentowano w muzeum. Zainteresowanym polecamy kilka stron:

- Metro Kotorogo Net – strona po rosyjsku, ale są na niej głównie obrazki z podpisami. Dużo projektów różnych stacji metra.

- Fotografie Starej Moskwy – jak sama nazwa wskazuje, można tutaj znaleźć zdjęcia tego, jak Moskwa onegdaj wyglądała. Też po rosyjsku, ale głównie obrazki.



*Tego pomnika na stacji Krasnaya Presnya też nigdy nie ujrzymy!*

Muzeum Architektury oferuje pakiet: jest jeden bilet na wszystko, więc z racji tego, że przyszliśmy na metro, to nam wcisnęli jeszcze dwie wystawy. No a jak już człowiek zapłacił... Dane nam było zobaczyć Kreml projektu Bażenowa i wystawę *Moskwa Trzech Aleksandrowów*.

Pierwsza pokazuje dość odjechane wizje architekta Katarzyny II. Jekatierina splajtowała, budując Carycyno, więc trochę trudno zrozumieć, jak jej przyszło do głowy, żeby marzyć o wybudowaniu giganta w stylu neoklasycystycznym. Samą makietę tegoż rekonstruowano 20 lat i w wielu miejscach wyszło dość chujowo, więc to taki projekt jak kolonizacja Marsa. No a sama wizualizacja Kremla w tym stylu jest nawet ciekawa, tyle że zbudowanie tego zajęłoby dziesiątki lat, do tego pewnie spłynęłoby im to do rzeki, bo ciężar takiej budowli musiałby być niewiarygodny, a klimat tutaj nie jest przesadnie przyjazny. Trochę takie rysunki małego Jasia, który ostatnio odwiedził Akropol, no ale nawet zabawnie popatrzeć, zwłaszcza na szkice *Wyobrażenie tego, jak robotnicy budowałiby ten pałac*.



*Architekt Bażenow, zapewne z rodziną i chyba z jakimś menelem z lewej*

Wystawa *Moskwa Trzech Aleksandrowów* pokazuje nam, jak zmieniała się Moskwa na przestrzeni ostatnich dwóch wieków. Dupy nie urywa, to tak delikatnie mówiąc. Dobrze 20% wystawy to kadry z filmów w żalosnej rozdzielczości. Jest parę ładnych ujęć, ale kto tego nie widział, to życia nie przeżył.

Pani w muzeum powiedziała, że to bardzo ciekawa wystawa. Kusiło zapytać, jak jej zdaniem wygląda wystawa nieciekawa...

[9.04.2016]

Jak Rosja, to musi być balet (a także wódka, matrioszki i niedźwiedzie, ale dzisiaj nie o tym). Standardowo jest Bolshoi, ale tu mamy do czynienia z paroma problemami. Po pierwsze, bilety trzeba kupić z wyprzedzeniem i to solidnym (powiedzmy, że dwa-trzy miesiące). Rozchodzą się jak świeże bułeczki, a fama głosi, że duża ich ilość trafia w ręce koników i innych handlarzy, którzy odsprzedają je z solidną prowizją. Po drugie, bilety tanie nie są. Tu nie ma się co rozpisywać, wiadomo, że jak jeden z najsłynniejszych teatrów świata, to tanio nie będzie. Po trzecie, co jakiś czas gazety lub czasopisma i portale internetowe donoszą, że panuje tam dzika korupcja i nepotyzm i w końcu wychodzi człowiekowi, że jak ktoś tam pracuje, to dlatego, że zna, kogo trzeba i najlepiej jeszcze z nim sypia. Nie ma więc gwarancji, że będzie dane zobaczyć coś na poziomie, bo może się okazać, że to jakaś pani, która dość dobrze zna pana reżysera, i to nawet od pasa w dół. Teatr ten otacza taka ilość afer, że HBO mogłoby spokojnie zrobić o tym serial. Chociażby w 2013 roku dyrektor artystyczny Siergiej Filin został obłany kwasem na zlecenie jednego z tancerzy, bo nie obsadził jego dziewczyny w głównej roli w jakimś flagowym spektaklu. Legendy głoszą, że za poprzedniego systemu baletnice były często zapraszane na imprezy partyjne, odmówienie uczestnictwa oznaczało koniec kariery, zaś udział w imprezie wiązał się oczywiście z pójściem do łóża z jakimś starym przykiem. Po czwarte – i to dla nas problem największy – w Bolshoi grają ciągle jakieś międzynarodowe dzieła. Na *Carmen* mogą sobie iść w wielu miejscach na świecie, ale jeżeli mam dać za balet kilka tysięcy rubli, to chcę mieć np. Czajkowskiego, Prokofiewa lub Strawińskiego, bo w końcu Moskwa! No a tu dają *Hamleta*.

Z odsieczą przyszedł Dom Muzyki, który zdecydował się wystawić w pakiecie dwa balety Strawińskiego – *Żar-Pticę* i *Rytuały wiosenne*. Nie do końca wiedzieliśmy, czego się spodziewać, ale postanowiliśmy zaryzykować. Warto było. Technicznie: Dom Muzyki mieści się dość blisko stacji Taganskaya. Nie jest to samo centrum miasta, nie są to też krzaki. Sam obiekt jest dość nowy, a wejście do niego przypomina poszukiwanie Narnii.



*Dom Muzyki z oddali*



W pewnym momencie łąziło nas całe stado zainteresowanych i ustalało, że nie, tędy się nie da, a na górze są łańcuchy, a tam pani mówi, że tych drzwi nie otworzy, więc chyba tam. Jaja, oznakowań brak. Szczęśliwie, na tym problemy się skończyły.

Strawiński ma takie pierdolnięcie, że wysiada przy nim wiele zespołów death metalowych. Do tego raczej niekonwencjonalne układy taneczne. Dekoracje początkowo wyglądały na typowy bizantyjski przepych i wioskę (w sensie pejoratywnym, nie rustykalnym), ale szczęśliwie potem w miarę działały, chociaż nie do końca uważam, że to super szczęśliwy pomysł, że facet grający śmierć nosił cekinową czaszkę na kłacie. Trochę pozmieniano względem oryginałów, ale nie ma dziwów, fajnie ogląda się kilkunastu facetów symulujących kopulację lub Żar-pticę wsadzającą krocze w twarz bohaterowi (refren z utworu Gangu Albanii *Klub go-go* można było odśpiewać wielokrotnie i tym samym oddać sytuację panującą na scenie). Balet ma tę wyższość nad musicaliem, że nie mówią, więc można sobie odgadnąć, co też się dzieje, chociaż ja staram się przeczytać przed występami, o czym to też traktuje. Bywa, że nie do końca widzę w jakimś piruecie, na przykład, scenę rozmowy o dorastaniu dzieci. Tu jednak nie było bardzo ciężko, seks i przemoc na całego, więc przyjemnie i swojsko.

Na pewien minus: muzyka z płyty. Nie spodziewaliśmy się całej orkiestry grającej przez ponad dwie godziny, więc rozczarowania wielkiego nie było, brzmiało, jak powinno.

Gdy wystawiono *Rytuały...* po raz pierwszy w Paryżu roku 1913, to doszło do zamieszek i dewastacji teatru: oryginalna choreografia (autorstwa Wacława Niżyńskiego, którym z jakiegoś powodu Polska nie chwali się tak bardzo jak innymi światowymi artystami o polskich korzeniach) nie przypominała niczego z klasycznego repertuaru baletowego, tancerze nosili wielkie a'la słowiańskie szmaty, które właściwie uniemożliwiały piruety, wyskoki i tym podobne atrakcje. Do tego Strawiński był bardzo kontrowersyjnym kompozytorem, więc nuta nie taka, jakiej widzowie oczekiwali (podczas prób muzycy wielokrotnie zwracali uwagę dyrygentowi, że chyba jest jakiś błąd w zapisie nutowym, bo nie widzą w nim ładu ani składu). Do zamieszek doszło jeszcze z paru innych powodów bardziej politycznych, niemniej balet ten przeszedł do historii jako jeden z najbardziej kontrowersyjnych. Niestety moskiewska publika roku 2016 okazała się bardziej powściągliwa, przynieśli nawet roślinność, niczego nie zniszczono, chyba nawet nikt nie nasikał na podłogę w toalecie. Choreografia nie była oryginalna (oryginalnej już niemal nikt nie wystawia), więc to pewnie dlatego. Pozostaje jednak pewien niedosyt, taki ładny budynek, tak ładnie by się palił, tyle miejsc do zniszczenia, a tu te rodziny z dziećmi siedziały i spokojnie biły brawo. Rozczarowanie, brak szacunku dla twórców. A samo miejsce zapisało się złotymi zgłoskami, wszystko nowe, czyste, działa, no poza oznakowaniem wejść. Sala niebieska, w której odbywało się przedstawienie, była dość mała, akustyka też nie zabijała (bo jej nie było), ale wszystko w porządnym standardzie.

Potem był drugi artysta, który potrafi dać po uszach niczym Slayer, czyli Prokofiew. Muzyka Siergieja do *Aleksandra Newskiego* jest czymś, co przez kilka lat miałem w playerze, więc tu oczekiwania miałem solidnie wygórowane. Tym razem wystawiano *Kamienny kwiat*, w Teatrze Stanisląwskiego (ileż oni tu tego mają!). Tu budynek robi wrażenie, samo centrum miasta, masywne, ogromne i wiekowe.



*Teatr Stanislawskiego w pełnej krasie*

Nie mieliśmy miejsc w pierwszych rzędach, ale szczęśliwie wiedzieliśmy, że będzie to opowieść o kamieniarzu, który chce wykonać idealną rzeźbę, uwodzi go na to Pani Kamienia, ale on się nie daje, bo ma przygruchaną inną, bardziej ludzką. Tę pod nieobecność naszego bohatera uwodzi lokalny kapitalista-arystokrata, ale gdy odrzucona Pani Kamienia to widzi, to zamienia go (niespodzianka!) w kamień. Prokofiew nie doczekał premiery *Kamiennego kwiatu*, jest to ostatnie dzieło jego życia.

W tym wypadku muzyka była na żywo, i to nie było dwóch smutnych facetów z harmoszką, tylko pełna orkiestra. Grali fajnie, mimo miejsc kawałek od sceny wszystko słyszeliśmy. Tańce dość imponujące (ileż można kólek wyskakać na jednym rozbiegu?!), ale z mniej wyuzdanymi popisami niż u Strawińskiego. Lista nazwisk w obsadzie krótsza, ale za to więcej dłuższych solowych popisów. W starciu gigantów na większe wrażenie dźwiękowe wygrał Strawiński, na kostiumy Prokofiew, na tańce Strawiński, na budynek Prokofiew. Najbardziej wygraliśmy my, bo dwie soboty spędziliśmy całkiem przyjemnie.

Ku naszemu nierzadko zdziwieniu, wszystkie te wydarzenia były solidnie obłożone. O ile jeszcze tłumy w piątkowy wieczór nie dziwiły, o tyle sala wyprzedana niemal do ostatniego miejsca na 14 w sobotę to już nieco inny poziom wtajemniczenia, świadczący o tym, że Rosjanie interesują się takimi imprezami. Na publice przekrój wiekowy i społeczny lepszy niż w badaniach CBOS, spotyka się emerytów, spotyka się dzieci z podstawówki. Można powiedzieć, że teatry to miejsca słabo reprezentatywne dla Moskwy – bywa tłoczno, ale wszędzie raczej miło, bez przepychania, z wszystkimi możliwymi formami grzecznościowymi.





## **Tsereteli wielkim rzeźbiarzem jest i basta!**

**[10.04.2016]**

Są różne tragedie w dziejach ludzkości. Są miejsca, które uchodzą za przekłete. Jest Zurab Tsereteli. Człowiek, który jest w stanie odmienić każdy zakątek świata. W jedno z wyżej wymienionych. Wprawieni w bojach ze wschodnią częścią Europy, gdy widzą personalia „Zurab Tsereteli”, to wiedzą, że Gruzin. Jeszcze bardziej wtajemniczeni wiedzą, że artysta. I że należy uciekać.



*Z lewej: znany rosyjski aktor francuskiego pochodzenia. Z prawej: MAESTRO!*

Kocham Gruzję za kilkaset rzeczy. Niestety żadną z nich nie jest sztuka. W dużej mierze z racji położenia na mapie świata, Gruzja zawsze żarła ogon tendencji kulturalnych w każdej chyba możliwej dziedzinie – czy to film, czy muzyka, czy literatura, to szalu nigdy nie było. Jeżeli zdarzało się tam coś ciekawego, to twórca dokładał starań, żeby dać dyla z ojczyzny. Jakimś cudem gruziński balet jest rewelacyjny. Najciekawszym gruzińskim artystą jest Pirosmiani, który to umarł w nędzy, a wcześniej pomalował trochę obrazków z życia. Wszystko to wpada w kategorię sztuki naiwnej. Gruziański film? Jezu. Muzyka? Litości. Literatura? O, to jest jakaś gruzińska literatura po Szocie Rustawelim? No mają Stalina, który ma na koncie trochę książek, ale ich popularność jest znikoma (a kilkadziesiąt lat temu to musiały być nieziemskie nakłady, patrzcie jak się sprawy zmieniły). Jednak największym hitem eksportowym Gruzji został Zurab Tsereteli. To trochę tak jak koszulki Nike są hitem eksportowym Bangladeszu.



*Już początki zwiedzania są groźne. Potem jest gorzej*

Nieco dziwiło mnie to, że mimo napięcie na linii Tbilisi-Moskwa Zurab jest artystą cenionym w Rosji do tego stopnia, że ma dwa muzea, oba w dość centralnych częściach miasta. Po wizycie w jednym z nich zrozumiałem wszystko.

Zurab Tsereteli urodził się w 1934 roku. Jednak w jego muzeum dane jest nam podziwiać głównie dzieła, które powstały w ciągu ostatniej dekady. Część malarska zajmuje trzy piętra, na każdym możemy cieszyć się dość pokaźną ilością jego prac. Są one... interesujące.



*Wizja rybaka po LSD*





*Jakież subtelne inspiracje Chagallem...*

Nie no, po prawdzie to jest totalna sraczka artystyczna: namaluję kolegę! O, i tę babę ze sklepu! I tamtych też namaluję! Dobra, to jeszcze namaluję Tbilisi. O, a teraz Pirosmianiego malującego, będzie intertekstualność! I Modiglianiego dowalę. O, a teraz Chaplina, bo mi się podoba. O, i ludzi z osłami. Ile mi to zajmie? A ze dwadzieścia minut i jest! I niech wszyscy widzą, niech te obrazy mają po jakieś dwa metry na metr. Paleta kolorów? Dla daltonisty, wszystko wrzeszczy, rozdzielczość VGA 16 kolorów.

Na jednym z półpięter można cieszyć się dziełami wodza w miniaturze. W skali 1:10 wyglądają naprawdę dobrze, ciekawie.

Niemal jednocześnie powiedzieliśmy: „Jak to się zmniejszy, to nie jest aż tak ohydne”. Jednak większość nie jest zmniejszona.



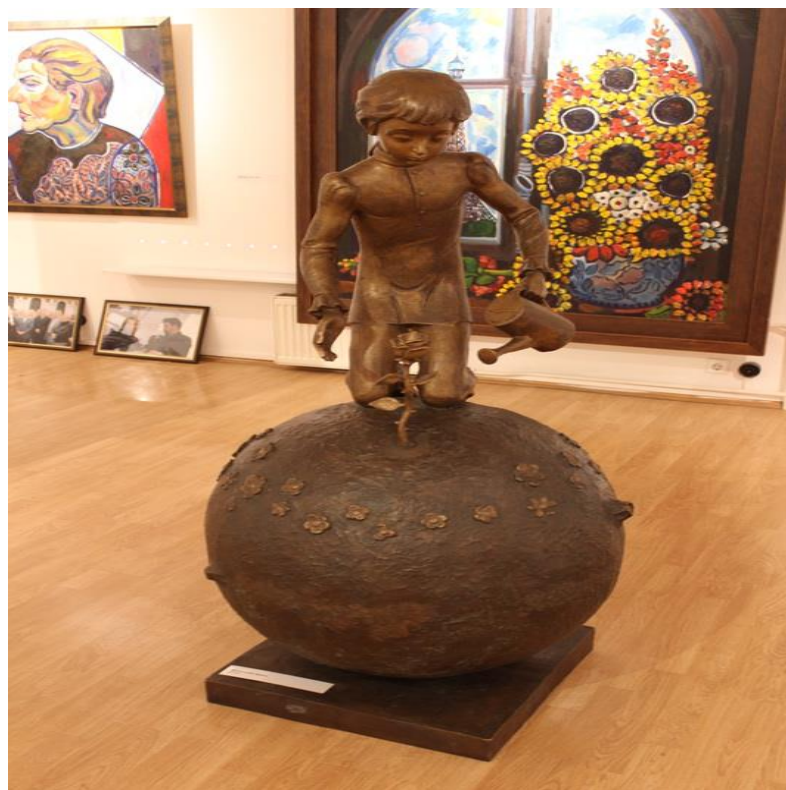
*A co się będziemy ograniczać – zrobmy wszystko w emalii! Jest przecież taka gruzińska!*



Cała sekcja malarska nie mogła przygotować nas na rzeźby. Te pojawiały się między obrazami, są też przed wejściem, ale wydawały nam się umiarkowanie groźne.



*To Janis Joplin? To Violetta Villas? NIE! To Ałła Pugaczowa!!!*



*Mały Książę. Nie ma to jak tanie wzruszenia*

A to siedzi Pasternak, a to jakiś badziwny Puszkina, trochę Kolumba. Potem zaś przeszliśmy do ogródka i zobaczyliśmy inne rzeźby Zuraba.



*Nie ma na to słów*



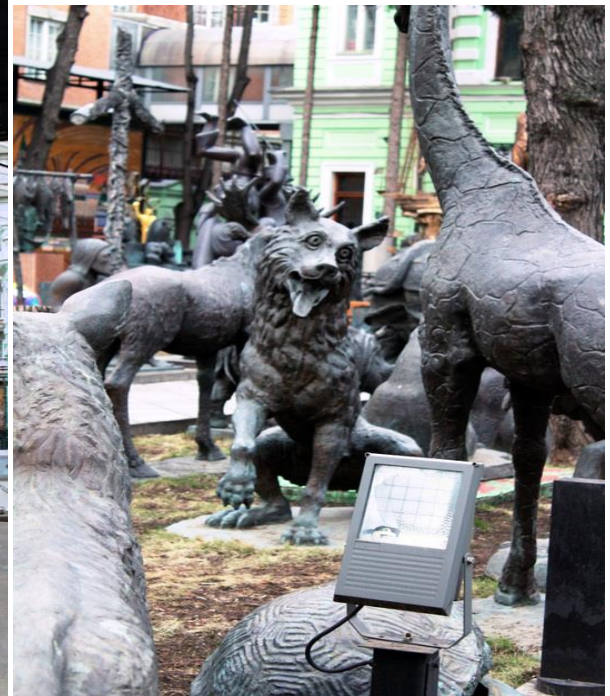


*Bizantyjski przepych*



*Słowiańska dusza rodem z Kaukazu*





*Jaja jak globusy*





Możemy się tylko nieśmiało domyślać, że Zurab jest finansowany z naszych podatków. Ilość materiału, jaką zmarnował, idzie w tony. Efekty jego prac są mizerno-żałosne, chociaż jest to taki odlot, że w sumie warto. Jest wszystko – aligatory, carowie, Napoleon, wilk, który wygląda, jakby się masturbował, dość dużo ryb, a przede wszystkim jest Putin w stroju dżudoki.



*Oniemieliśmy na dobre kilka minut*



Gdy chwilę temu miałem u dorosłych lekcję o opisywaniu miast, wrzuciłem temat: jaki jest najładniejszy pomnik w Moskwie? Od czterech osób dostałem dwadzieścia odpowiedzi. Odwróciłem więc sprawę i poprosiłem o wskazanie najbrzydszego pomnika Moskwy. Pełna zgodność: Piotr I na rzece. Naprawdę, warto przyjechać do Moskwy, żeby zobaczyć, jaki syf postawiono dość blisko centrum. Jest to jeden z najwyższych pomników świata. Chodzą opowieści, że Zurab to zrobił na 1992, rocznicę odkrycia Ameryki przez Kolumba. Jednak gdy w NY zobaczyli to cudo, które miało być większe od Statui Wolności, to kazali artyście iść na spacer i podziękowali. No więc Zurab pobłąkał się po paru miejscach w USA, bo jak nie NY, to może chociaż Ohio. Ale okazało się, że i w Ohio tego nie chcą. No więc Zurab pomyślał, a potem poszedł do władz Rosji, że ma tu taki projekt pomnika Piotra I, który to przecież słynął z pasji do morza i floty. Ktoś to klepnął i postavili. W pobliżu jest Muzeon, cmentarz upadłych pomników, więc można powiedzieć, że jest to pewne dopełnienie.

Można powiedzieć, że USA nie udało się zrazić wielkiego artysty do siebie. Obecnie realizowany jest inny pomnik Kolumba, w Puerto Rico. A drugi jest w Sewilli, w ten sposób mają symbolizować łączność między kontynentami. Oni tam jeszcze wierzą, że dzięki temu pomnikowi turyści będą do nich przyjeżdżać. No cóż, głupota nigdy tanio nie wychodziła.

Na koniec przejrzałem sobie książkę o pomniku Zuraba dla ofiar wojen i terroryzmu. Jako jeden z przykładów na ten podano zamachy w Riazaniu. Dopóki u Zuraba piszą takie cuda i robi Wołodię w stroju dżudoki, to może być spokojny o pieniądze.

Po części malarskiej byliśmy podłamani – 250 rubli za twarz w pizdu. Jednak gdy przeszliśmy w plener i zobaczyliśmy rzeźby autorstwa Zuraba, to nam przeszło. Na pierwszym miejscu atrakcji do odwiedzenia w Moskwie nadal jest muzeum Garmoszki. Tsereteli otrzymuje od nas srebrny medal. Czego nie spalicie i czego nie wciągniecie w nozdrza, to nawet nie zbliżycie się do poziomu postrzegania świata przez Zuraba Tsereteli.



*Na koniec pozostawiliśmy najlepsze, czyli... budynek muzeum od frontu*



## Czy Raskolnikow śni o elektrycznej gitarze?

[24.05.2016]

O istnieniu musicalu *Zbrodnia i kara* dowiedziałem się pewnego lutowego dnia, gdy szedłem przez centrum. Przewijany billboard pokazywał płonący samochód. Hasło głosiło, że rockowy musical *Zbrodnia i kara* będzie pokazywany od jakiegoś tam dnia pod koniec marca. Zaintrygowało mnie to, bo uważam, że świat cierpi na niedostatek musicali, a rockowych to naprawdę jest bardzo mało.



*Plakat przyciągający wzrok*

Źródło: <http://konchalovsky.ru/news/2016/03/16/premera-rok-opery-andreya-konchalovskogo-prestuplenie-i-nakazanie>.

Uznałem, że albo jest to pomysł wariata i będzie to nędza, albo geniusza, który doskonale wie, co robi. Odbiliśmy się jednak od wczesnych biletów, najtańsze kosztowały 1700 rubli. No trochę za dużo na eksperyment, który może okazać się porażką. Zaangażowany w całe przedsięwzięcie był Andriej Konczałowski, co dawało szansę na powodzenie – w końcu Konczałowski ma na koncie немало solidnych filmów, choćby *Tango & Cash*. Praca nad musicaliem miała mu zająć CZTERDZIEŚCI LAT! On chyba tak lubi, bo nad *Dziadkiem do orzechów* pracował niby dwadzieścia (a efekty nie powaliły zbyt wielu osób na kolana). Sprawa uległa zapomnieniu, chociaż co jakiś czas widywało się plakaty na mieście. Minęło jednak kilka dni (jakieś dwa miesiące) i sprawdziłem ponownie ceny biletów. Rura nieco zmiękła i bilety były od 500 rubli. Za tyle to można ryzykować.

Logistycznie: teatr muzyczny mieści się w parku Fili. Jest to bardzo miły park, chyba że akurat leje, jak to ma w zwyczaju w Moskwie przez solidny kawałek tego maja. W środku standard. Miłym akcentem jest wręczenie każdemu programu, który ma dobre parę stron i nieco przydatnych informacji. Z lekkim opóźnieniem, kilka minut po 19, maszyna ruszyła.



*Szatnia i hol teatru muzycznego*

Wizja reżyserska zakładała uwspółcześnienie całej imprezy. Wiele to tak naprawdę nie zmienia, tyle że Sonia oddaje się, bo chce odzyskać paszport (jak Rosjanie zwykli nazywać dowód osobisty i który to jest tu niesamowicie cenny) od swojej burdel mamy. Ta go ma, bo Sonia wpadła w spiralę zadłużenia. Raskolnikow snuje się po scenie i jest koszmarnie nudny – to połączenie tego, jak to napisano i aktora odtwarzającego główną rolę. Porfiry to dość dziwny przypadek, bo poznajemy go, jak imprezuje ze studentami, gdzie też spotyka Raskolnikowa.

W warstwie fabularnej zmiany są w sumie dość powierzchowne: zamiast staruszki, Raskolnikow ubija burdel mamę Sonii. Pewne jaja są w kwestii duchowej, bo przez większość występu wątek religijny nie występuje. I tak jakoś pod koniec nagle Raskolnikow pogina do Sonii z *Biblią* swojej matki, a jeszcze na samym końcu są w cerkwi. Trochę tak, jakby reżyser się zorientował: o kurwa, to już prawie kończymy, a ja wywaliłem całą religię z Dostojewskiego! Szczerze, to chyba miałoby więcej sensu odpuszczenie całkiem tego wątku. Drugie plany są nieco ciekawsze, zwłaszcza facet w czerwonej kurtce.





Jeden z odtwórców głównej roli  
Źródło: [Tass.ru](https://tass.ru).



*Przyjście z laptopem do teatru to dość intrygujący pomysł...*



Mimo uwspółcześnienia scenografii – Sonia pracuje przy stacji metra, kapitalista ma samochód (ten, który płonie na plakacie), są oddziały OMON-u – to całe to przedsięwzięcie jest w sumie dość tradycyjne. Niektóre interpretacje w kwestii przełożenia powieści na czasy bardziej współczesne wydają się dość płytkie – na ścianach pokoju Raskolnikowa wiszą plakaty z Leninem i symbolami komunistycznymi, a studenci skaczą w maskach Guya Fawkesa. Trudno też określić, o jaką „współczesność” właściwie chodzi, bo bohaterowie raz biegają w ortalionowych dresach, innym razem w ciuchach w których bez wstydu mogliby wyjść na ulicę w roku obecnym. Trochę słabo wpasowują się w ten klimat wspomnienia bohatera, w których z kolei ludzie odziani są w stroje ludowe z poprzedniej epoki.

Termin „rock musical” to pewna przesada, kawałków stricte rockowych ze świecą szukać. Cała orkiestra jest dość klasyczna, mieli dyrygenta, a nie mieli ani pół gitary elektrycznej, klasycznej ani basu. Perkusja zaś chyba szła z podkładu. Można go było równie dobrze nazwać musicaliem electro. Niestety kolejne utwory nie są przesadnie powalające, stanowią tło, ale nie porywają. Właściwie żaden z nich. Brak tematu przewodniego. No a to jest cholera musical, więc powinny porywać, wyrywać z butów, rozrzewniać i wywoływać parę innych uczuć, a prowadzący motyw powinno się zapamiętywać na lata. Dalej, tradycje muzyczne Rosji i republik rosyjskich są o wiele bogatsze i ciekawsze niż to, co nam grają i śpiewają. Każdy naród Kaukazu ma coś bardziej interesującego na stanie niż mdły pop rock, który wybrano na podkład. Szkoda, że nie zakombinowano w stronę tradycji ludowej – bo ta ścieżka, co jest, to raczej nie ma wielkiego potencjału. Nawet kiedy chwilami muzyka wydawała się ciekawsza, to za chwilę linia wokalna całkowicie ją przytłumiała. Z tańcami jest bieda, najlepiej wypada chór prostytutek (którego możemy posłuchać jakieś cztery razy, czyli o przynajmniej dwa za dużo), ale główni bohaterowie raczej się snują. Szkoda.

Z radośniejszych rzeczy, scenografia jest ciekawie zrobiona, wykorzystuje dość sensownie projektory, więc wygląda to wszystko całkiem dobrze. Reklamowano, że jest to spektakl w 6D i że użyto najnowocześniejszych technik z zagranicy (to oczywiście wielki plus w oczach Rosjan, bo jak słyszą, że coś jest rosyjskie, to uznają, że będzie to chłam).



*Kolejka po butербrody*



*Tu należy spożywać butербrody*

Spektakl trwa niemal trzy godziny – duża w tym zasługa półgodzinnej przerwy. I tak jak teatry w Moskwie często mają jedzenie i napoje w ludzkich cenach, tak teatr muzyczny postanowił zaszaleć i np. kanapka z łososiem kosztowała 200 rubli (pisząc „kanapka”, mamy na myśli kromkę chleba z plastrem łososiopodobnym).

Wielkim plusem było to, że po spektaklu podstawiono darmowe autobusy, które rozwoziły ludzi do TRZECH różnych stacji metra. Teatr nie mieścił się na jakimś końcu świata, a mimo to pomyślano o tym, jak widzom ułatwić powrót do domów.

[19.06.2016]

1 lutego wróciłem z pracy i coś tam sobie czytałem. Nagle oczom moim ukazało się, że w czerwcu będzie festiwal i że PJ Harvey wystąpi w Moskwie. Kilka minut później mieliśmy bilety. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, kosztowały 1000 rubli, wtedy to było jakieś 50 PLN! Za trzy zespoły, a przede wszystkim za PJ Harvey. Gdy ją oglądałem w Warszawie w 2008 roku, zapłaciłem 210 PLN. Nie miałem za rewelacyjnego miejsca, nie sracz, ale ogólnie takie średnie. Podejrzewałem wala. No bo jak traktować poważnie festiwal, który ma promować picie herbaty Ahmad i brytyjską muzykę? Pocieszało, że wcześniej mieli kilka edycji, 1000 rubli nie fortuna, a PJ Harvey łapie się w dziesiątkę moich ulubionych artystów i w pierwszej trójce śpiewaczek. Kupiliśmy, wydrukowaliśmy bilety i rozpoczęliśmy oczekiwanie na nową płytę.

Singiel ją zapowiadający, *The Wheel*, zerwał mi kask. Poprawiło video, w którym możemy cieszyć się obrazkami z Kosowa. Zakatowałem tym utworem nawet odwiedzając mnie w lutym matkę. Po tym, jak go pierwszy raz usłyszałem, to przez trzy dni leciał w pętli. Do tego oczywiście spędzałem z nim dojazdy do pracy. Wiedziałem, że cała płyta raczej aż tak mi nie wejdzie, ale cieszyłem się, że jest na niej taki gigant pierdolnięcia.

W kwietniu wyszła płyta. Po kilku dniach miałem werdykt: połowa jest świetna, druga akceptowalna. Chyba tylko *Dollar, Dollar* mi całkowicie nie weszło, ale *Medicinals, Near the Memorials to Vietnam and Lincoln, The Community of Hope* wynagradzały to z nawiązką. Do tego okazało się, że *The Wheel* w wersji płytowej jest dłuższy niż w singlowej i wejściówka zabija jeszcze bardziej. PJ Harvey ugruntowała tą płytą swoją markę – osoby, która nie nagrywa bardzo gęsto, ale za to każda płyta jest świetnie przemyślana, odmienna od poprzednich, a do tego jeszcze oferuje dość ciekawe aranżacje – *White Chalk* jest całkiem inną bajką od *Let England Shake*, a *The Hope Six Demolition Project* znowu czymś odmiennym, żeby tylko powiedzieć o trzech ostatnich (a po drodze była jeszcze ta z Parishem w 2009). Na *Hope* mamy cudowne saksofony, które to są odpowiedzialne za większość odlotu w *The Wheel*. Polly raczej nie będzie grana w popularnych stacjach radiowych, ale to, co robi, jest dla zainteresowanych naprawdę świetne. Cały koncept płyty – opisującej losy dzieci uwikłanych w konflikty w Kosowie, Afganistanie, ale też w stolicy USA – jest dość karkołomnym skokiem na głęboką wodę. Jednak z tej akrobacji Polinie udało się zrobić coś innego i ciekawego. Do tego jeszcze jakiś milion problemów społecznych – pomysł był niebezpieczny, bo groził popadnięciem w banał. Szczęśliwie, wyszło ciekawie i na pewno niebanalnie.

No i koncertu nie odwoływali. Było to naprawdę niepokojące. Przez całą sobotę zanosilo się na burzę. Mieliśmy nadzieję, że lunie i przejdzie, zanim wyjdziemy na koncert. Niestety nie chciało padać, więc w końcu o 18 poszliśmy. Oczywiście ledwo wyszliśmy, zaczęło lać. To jednak było nic w porównaniu z tym, co nas zastało po dotarciu do docelowej stacji metra. Ulicami płynęły potoki, a z nieba lało strugami. Część ludzi jeszcze próbowała uciekać, ale znacznie więcej poddawało się. Niektórzy zdejmowali buty i koszulki, bo i tak byli cali mokrzy. Mieliśmy parasol, ale nie pomagał on na deszcz horyzontalny. Przestaliśmy trochę w przejściu podziemnym, a gdy wydawało się, że się przejaśnia, przeszliśmy do Muzeonu – jednego z najciekawszych miejsc w Moskwie, parku przedatowanych pomników.



Zastanawiało nas, gdzie oni tam zrobią koncert, szczęśliwie rozstawiono to wszystko rozsądnie. Było trochę po 19. PJ miała wejść o 21:40. Ponieważ współcześnie wszystko musi być festiwalem, to na tym grało wcześniej Django Django i The Maccabees. Oba te zespoły wzbudzają we mnie dokładnie zerowe emocje. Deszcz nie wiedział, czego chce, raz padał, żeby potem przestać, ale już w kilka minut później powrócić z jeszcze większą siłą. Zamiast Django Django wybraliśmy piwo pod mostem i nie byliśmy w tym odosobnieni. Weszliśmy koło 20, zostaliśmy obszukani dla naszego bezpieczeństwa (szczęśliwie mieli zepsute bramki do metalu – wiem, bo moje buty dzwonią na każdej, a nie zadzwoniły na tej) i mogliśmy cieszyć się deszczem nieco bliżej sceny. Miło zaskoczyło nas to, że sponsor festiwalu rozdawał herbatę za darmo. Przy okazji reklamował, że od września będą mieli nowe pudełka. Ekscytujące.

Pod każdą osłoną od deszczu stały stada ludzi. Brakowało miejsc, w których można byłoby nie moknąć. Lało ciągiem. Wygłosiłem około dwóch milionów komentarzy pod adresem organizatorów i tego, że skoro wczoraj lało w PL, to ogólnie można zakładać, że dzisiaj będzie lało w Moskwie, bo takie są prawa natury, że pogodę często przynosi tu z zachodu. Postawienie namiotu nie jest takie trudne, wiedzą o tym organizatorzy świętej pamięci *Selectora* w KRK, którzy też musieli bić się z przyrodą. No ale Rosja, to przecież dziadek obronił Moskwę i Stalingrad w solidnie ujemnej, to i ty możesz sobie postać w deszczu na koncercie. A że widać mało co, bo ludzie mają parasole? A czy dziadek miał parasol na Łuku Kurskim? To co narzekasz? Naprawdę, pogoda to chyba ostatnia rzecz, jaka może pokonać Rosjan.



*Lato w Moskwie...*

Zespół Maccabees pozwolił nam zredefiniować nudę. Odnosiło się wrażenie, że grają jeden, raczej średni kawałek w kółko. Taki kawałek, że Myslovitz by to skomponował na kacu. Niby plusem festiwalu jest to, że możesz sobie posłuchać zespołów, których normalnie byś nie odkrył, ale niech mnie jenot kopnie, a nawet skopie, byle bym tylko nie musiał tego więcej słyszeć.

The Maccabees zeszli o 21, PJ miała wejść o 21:40. Byliśmy pod wrażeniem, wszystko szło według rozpiski. Przemieściliśmy się pod scenę, bo wiele osób odeszło, co pozwalało odgadnąć, że ta grupa dusząca kota ma jakichś fanów. Przez kolejne 30 minut staliśmy w deszczu, przeklinaliśmy pogodę i oglądaliśmy kawałki z zeszłorocznego festiwalu. Wtedy nie padało, więc może dlatego ludzie wyglądali na nieco bardziej ubawionych niż my. Najbardziej ekscytującym momentem było wciągnięcie logo płyty w odwróconej wersji kolorystycznej. Poza tym techniczni nastroili instrumenty, sprawdzili dźwięk, zabili wszystkich jakimś przesterem, zeszli. Dziesięć minut.



*Logo widoczne pomiędzy parasolami. Ten u góry był nasz!*

O 21:38 ekrany wskazały odliczanie. Za dwie minuty PJ Harvey. Rozpoczęło się skandowanie pięknego hasła „Na choj zont?”, czyli „Po chuj parasole?”, mające na celu skłonienie zebranych do złożenia tych rachitycznych ochron przed lejącym deszczem. Potem nawet powstała wersja angielska – „Fuck the umbrellas!”. Niestety niektórzy pozostawali nieprzejednani i stali z parasolami. Pod koniec odliczania w moim zasięgu wzroku było czysto, jedni złożyli po dobroci, innym zaoferowano pomoc, np. łamiąc parasole.

*Dyesyat!*  
*Devyat!*  
*Wosiem!*  
*Siem!*  
*Szest!*  
*Pyat!*  
*Czietyry!*  
*Tri!*  
*Dwa!*  
*Odin!*

I nic. Nie wydarzyło się nic. Dopiero kilka minut później wyszła cała ekipa. „Na wejściu mają barabany!” – mówił stojący koło mnie człowiek. Rzeczywiście, wniesli bębny, banda dość okazała, Polina i osiem osób, w tym John Parish i Mick Harvey. Na całej trasie grają to samo, więc rozpoczęło się od *Chain of Keys*. PJ to nie Slayer, więc ogólnie wszyscy stali i z przyjemnością wysłuchali. Pierwsze wrażenie: ależ ona ma zajebisty głos, brzmi lepiej niż z płyty. Druga rzecz: ależ muzycznie to ma pierdolnięcie, ależ siła w tym jest! Te barabany...



*Ten maziąg w środku to Polina*



Wiedziałem, że na pierwszy z mych ulubionych kawałków muszę poczekać jeszcze trochę, więc lyknąłem bez bólu, a nawet z przyjemnością *The Ministry of Defence* i obserwowałem, jak sobie radzi pan z mojej prawej z back vocalami. Radził sobie. PJ miała na sobie miniówkę i bluzkę z baaaaaaardzo długimi rękawami, które to pozwalały jej na robienie teatru w późniejszych częściach koncertu. No i weszło z trochę zmienionym początkiem *The Community of Hope*. Polina kombinowała, żeby refreny zostawić publice, trochę ludziom zajęło załapanie, ale już na końcówce wrzask szedł całkiem ładny. Jestem pewien, że pośród zebranych był jeszcze przynajmniej jeden nauczyciel, poza mną jeszcze jedna osoba krzyczała „And the school just looks like shit-hole, does that look like a nice place?”. Mam parę placówek z naszej sieciówki, które bym wrzucił w tę kategorię. Na „they gonna put a Walmart here” PJ wskazywała na okolice. Sobie pomyślałem: co ty wiesz o życiu, jaki Walmart, tu nam zbudują Diksi, Azbukę Wkusa lub Aszana, a to całkiem zmienia postać rzeczy!

Potem miałem trochę czekania na kolejny odlot. Szczęśliwie, deszcz się zlitował, co nie miało znaczenia, bo i tak wszyscy byliśmy mokrzy, ale przynajmniej nie stawaliśmy się bardziej mokrzy (dyskusyjne, czy się dało). Jeden kawałek wchodził w drugi, a że grała dość krótkie, to *The Orange Monkey*, *A Line in the Sand*, *Let England Shake*, *The Words That Maketh Murder* i *The Glorious Land* zleciały w kilkanaście minut. To jest tak, że one są fajne, tyle że Polina ma w repertuarze lepsze. Cała trójka reprezentująca *Let England Shake* mogła być zamieniona na coś starszego i nie sądzę, żeby zebrani się zmartwili. O ile instrumentalni pokazywali nam, jak wszystko wyklaskiwać, o tyle ładne płytowo *Let England Shake* nie urywa pyty na żywo. Ale i tak z tej trójcy najsłabszy jest *The Glorious Land*. Przez najsłabszy nie mówię, że zły, ale jednak niepowalający. Wiedziałem jednak, że im dalej w las, tym bardziej się ubawię. Tak się stało na *Medicinals*, gdzie Polly refreny znowu zostawiła publice, więc wspólnie ze stojącymi obok nas krzyczeliśmy „we are always here!”.

A sama publika była dość zaskakująca – facet o wyglądzie skinheada znał wszystkie teksty lepiej niż ja, trochę przed nim stała dziewczynka, która miała może 1,6m, ale miała też taką pasję do skakania, że podrywała mnie, a ja tego niby skina. Zresztą ten festiwal sprawił, że jakoś lepiej myślę o ludności Moskwy, namierzyłem nawet kogoś w koszulce „Gay OK” – mam nadzieję, że ją sobie zdjął po koncercie, bo inaczej mogli go zabić, zanim w ogóle doszedł do metra. Cała publika była świetna. Nawet gdy stojący koło mnie chłop odpalił papierosa, czym mnie nieco podkurwił, to i tak nie mogłem się denerwować długo, bo poczęstował wszystkich zebranych i w sumie chyba z sześć osób wypaliło z nim tego peta. Wydarzenia w stylu koncertów (może niekoniecznie *Konkwisty 88*) wydobywają z ludzi to, co najlepsze.

Wracając do Poliny, szczerze mówiąc, nie wiem, po co Polly gra na tej trasie *When Under Ether*. No wychodzi w porządku, ale bez szału. Mam w pamięci, jak to brzmiało w Kongresowej w 2008, gdy miała ze sobą odpowiedni sprzęt – wtedy to miało sens, ale z kapelą to nieco chybiony pomysł. To i tak fajnie, bo potem było *Dollar, Dollar*, chyba najnudniejszy kawałek z całej promowanej płyty. Myślałem, że Polina ma jakiś patent na granie tego na żywo, ale nie. Nie chcę pisać, że dramat i katastrofa, śpiewa to czysto, ale sam utwór grzęźnie w sobie, jest nudny i banalny.



*Ten maziąg to nie PJ, akurat gdzieś poszła,  
więc chłop z saksofonem ją zastępował*

Szczęśliwie, po nim zaczęła się dzida. Pełna dzida! Najpierw poszedł mój faworyt z *The Hope Six Demolition Project*, czyli *The Wheel*. Wejściówka saksofonowa była nieco ścianą dźwięku, ale po minucie szło więcej niż dobrze. Winien jestem przeprosiny stojącym wokół mnie, że musieli wysłuchać mojego zaśpiewu tego dzieła, no ale to jeden z momentów, kiedy cieszyłem się jak klaun. „I heard it was 28 thousand” Polina zostawiła publice, razem z łysym chłopem wydarliśmy całą resztę refrenu. Wychodziło super, Polina śpiewała swoje i pokazywała nam, że „I heard it was 28,000”, no a my zebrani oczywiście, że to krzyczeliśmy za nią. To był dopiero początek szczęścia, *The Ministry of Social Affairs* nie wzbudziło dzikiej furory, chwila na złapanie oddechu, ale po tym nastąpił opus magnum.

Herbata, kultura, multikulturowość, problemy społeczne. JEBAĆ TO! *50ft Queenie*. Jeżeli by mnie postawili pod murem i kazali napisać listę dziesięciu ulubionych kawałków, to są duże szanse, że *50ft Queenie* byłaby na niej. Pełna pompa, w minutę zdarłem sobie głos

i wyskakałem pod sufit (co nie jest łatwe przy koncercie na otwartym powietrzu).

“Tell you my name  
F u and c k  
50ft queenie  
Force ten hurricane”.

Po tym, to mogłem sobie iść do domu w pełni szczęścia. Na jeszcze większe szczęście, Polina się nie pakowała, tylko otworzyła talię swoich najlepszych kart. Nawet nie zdążyłem skończyć dyszeć, a grało już *Down by the Water*. Publika ślicznie okazała znajomość klipu, wszyscy robili rękami to, co Polly nagrała jakieś 20 lat temu. Wrzask z tłumu – świetny. O ile na nowych kawałkach ludzie trochę durnieli, o tyle losy córy pod mostem spotkały się z zajebistym odzewem. A *Down by the Water* przeszło w *To Bring You My Love*. No to jest arcydzieło. Trochę mi wstyd, bo nienawidzę oglądania koncertów przez telefon, ale pozwoliłem sobie nagrać, co wymagało stania przez pięć minut jak kretyn. W bonusie mamy „Ja tjebjaj lublju!”.

Potem zagrała *River Anacostia*, kawałek, który z płyty mnie nie zabija, ale na żywo, w dużej mierze dzięki publice, wyszedł dość fajnie. Skończyła, zeszli. Ludzie zaczęli się wycofywać. Idźcie se, pachyły, oni zaraz wrócą na dogrywkę. Czekaliśmy na bis. Czekaliśmy. Czekaliśmy. Czekaliśmy. A potem poszliśmy do metra. Nie zagrała niczego na dogrywkę. Null. Zero. Całość trwała niecałe 80 minut. Bywałem na dłuższych koncertach.

Nie lubię pierdolenia, że coś tam było magiczne, nieziemskie itp., no ale było dobrze. Naprawdę. Czego się mogę czepić:

- Szkoda, że set to nowa płyta, trochę poprzedniej i trzy stare kawałki. To, jaki odjeb był na *50ft Queenie*, jakie wycie na *To Bring You My Love*, jakie tańce na *Down by the Water*, jasno pokazało, czego byśmy wszyscy chcieli. W zamian mogliśmy się zadumać nad losem afgańskich i kosowskich dzieci. Cenne, ale cokolwiek z *Rid of Me* przebiłoby to doświadczenie.
- Deszcz. Deszcz. Deszcz. Nasze wspomnienia z tego eventu związane na zawsze będą z deszczem. Szkoda, że organizator nie wpadł na plan B i nie postawił jakiejs pałatki, żeby nam oszczędzić bycia mokrym przez cały wieczór.
- Naprawdę nie dało się rzucić chociaż jednego kawałka na bis? Na całej trasie gra dogrywkę, ale na Moskwę jej się nie udało? Mogę to usprawiedliwić tym, że wybiła 23, czyli cisza nocna, więc nie mogli dalej grać. Nie sądzę jednak, że okoliczni mieszkańcy zadzwoniliby po OMON, gdyby zagrała kilka minut dłużej. Do nędzy ciężkiej, dokładnie to samo miało miejsce w Wawie w 2008 – koncert krótszy niż gdzie indziej, bo przecież Europa Wschodnia, to cieszcie się, pachyły, że w ogóle macie koncert, a starać to ja się mogę we Wiedniu lub Paryżu. Nagrywamy więc płyty o tym, że Afganistan i Kosowo, ale bardziej nam się chce we Francji niż w Polsce lub Rosji.



- Kontakt z publiką – zerowy. Jedno „spasiba” i przedstawienie zespołu, amen. W 2008 gadała jak nagrana, wdawała się nawet w rozmowy z fanami. A w 2016 cisza. Szkoda. Ten koncert mógł być równie dobrze grany w Helsinkach, Hanoi lub Hawanie. Będąc w jednym z najbardziej rozpoznawalnych miast świata, wypadłoby zrobić z tego użytek, choćby rozciągnąć te afgańsko-kosowskie dzieci na biesłańskie, czeczeńskie i inne sieroty Federacji Rosyjskiej – no bo jak robimy z siebie ambasadora moralności i wrażliwą jednostkę, to idźmy na całego, zwłaszcza w rejony, w które nie dociera telewizja. „Nie pauczyło”, jak mawiają Rosjanie.

Parafrazując klasyka, rozchodzi się o to, żeby te minusy nie przysłoniły plusów. Te są następujące: Polina na żywo brzmi rewelacyjnie. Głos ma przepiękny. Bębny, saksofony zabijają. Kilka momentów z koncertu totalnie urywało jaja przy samej nasadzie. O ile pogoda zaskoczyła organizatorów, o tyle był to chyba najlepiej zorganizowany festiwal, na jakim w życiu byłem – wszystko jak w zegarku, żadnych kolejek do kibli, jedzenie i picie w rozsądnych cenach, darmowa herbata, żadnej upierdliwej ochrony – przez cały koncert stali z boku i nie czepiali się ludzi. 10/10 za to i kolejny kamyczek do moich opowieści o tym, że o ile w Rosji wiele rzeczy nie działa, o tyle, jak organizują imprezę, to wszystko gra i buczy.

Wychodząc z ogrodów Muzeonu, wpadliśmy na stoisko z koszulkami. Chyba oficjalnymi. Udało nam się wymienić po 1200 rubli na koszulkę z logiem ostatniej płyty Poliny. Niech świat wie, jak spędziliśmy tę czerwcową sobotę! Wychodząc w nową dzianinę, jeszcze przez kilkaset metrów od imprezy mogliśmy słuchać tego, jak ludzie śpiewają *River Anacostia*.

[24.08.2016]

- *Musisz, kapralu, musisz!* – powiedział pułkownik Fomin znad biurka
- *Ale towarzyszu, to przecież poniżej godności pracownika FSB* – odparł Abushkin.
- *Kapralu Abushkin, musicie! MUSICIE!*
- *Ale...*

– *Będą pieniądze. Będzie weekend na daczach. A jeżeli się postaracie, to może Varvara z działu kadr też tam będzie. A jak się nie postaracie, to będzie Dagestan!* – krzyczała czerwona twarz pułkownika Fomina.

- *WYJŚĆ!* – zakończyła tę przemowę i zatopila się w fotelu zrobionym z karakalich futer.

Abushkin się zafrapował. Wiedział, że z listy wycieczek podmoskiewska dacha interesowała go bardziej niż dagestański auł. Wstąpił do służb specjalnych jakieś dwa lata wcześniej. Był gotów na sabotowanie kapitalistów, był nawet gotów na zostanie szahidem w imię Rosji. Nie był jednak gotów na tę misję. Jego myśli popłynęły w stronę historii Związku Radzieckiego, wyzwania rzucanych pracownikom KGB i FSB na przestrzeni lat. Przypomniawsobie spektakularne akty sabotażu. Zabójstwa. Działania terrorystyczne. Jednak według wiedzy Abushkina jeszcze nigdy agent FSB nie zmierzył się z takim wyzwaniem.

Abushkin szedł do metra i przypomniało mu się jego dzieciństwo: dom dziecka w Krasnojarsku. Przyjęcie na studia za niesamowitą inteligencję, która objawiła się tym, że wygrywał w szachy z każdym, w tym z pijanym Pietrowem, mistrzem okręgu sezonu 1963. Potem lata szkolenia dla FSB. Zimne prysznice i gorące pustynie. Kąpiele w zwierzęcej krwi. Strzelanie do dzieci na ulicach Groznego. Dwa lata w Arktyce. Tajna misja w Tadżykistanie. Nocne spotkania z Al-Kaidą w Chajber. Awans do FSB. Podobało mu się to, lubił czuć tę adrenalinę, to życie na krawędzi, tę niepewność powrotu do domu po misji. Nie chciał tego stracić. Nie potrafił żyć inaczej. „Przecież nie pójdę sprzedawać gazet ani uczyć w szkole” – myślał sobie, kołysząc się w wieczornym potoku ludzi, którzy wracali moskiewskim metrem już po zapadnięciu ciemności. Jednak ta misja mogła sprawić, że wszystko przepadnie. „Miałem bronić ojczyzny, a teraz takie coś? Rozumiem wyzwania, rozumiem poświęcenie dla Rosji, ale czy są jakieś granice? Czy są takie chwile, kiedy człowiek może się zawahać, ale nadal być nieodrodnym synem swojej ojczyzny?” – bił się z myślami Abushkin, przepychał swoje kawałki układanki w tym wielkim systemie, jakim jest człowiek w Federacji Rosyjskiej. Potem zdał sobie sprawę, że to nie myśli, że przepycha się z imigrantami o miejsce siedzące. Kombinacja tych dwóch czynników sprawiła, że zapomniał się przesiąść, w końcu musiał wrócić dwie stacje. Przypomniawsobie o czasie, jaki był mu dany na decyzję. Wiedział przy tym, że tak naprawdę nie ma nawet tyle. Cierpliwość pułkownika Fomina miała bardzo poważne ograniczenia.

Przez te dwie stacje metra, które jechał ze względu na głębię własnej refleksji, Abushkin myślał o odwołaniu się do władzy wyższej. Jak szybko myśl ta go nawiedziła, tak szybko ją porzucił. Parę miesięcy temu jego współpracownik, Oleg Władimirowicz, zrobił właśnie to. Władza wyższa wysłała zapytanie do pułkownika Fomina, dlaczego jakiś tępuch spod Tambowa ośmielił się w ogóle do nich napisać i dlaczego Fomin do tego dopuścił. Krytykę wierzchołka Fomin przyjął nieco bardziej emocjonalnie niż zażalenia agenta. Obecnie Oleg

zmienił swój zakres obowiązków pracowniczych, z podsłuchiwania ambasady kanadyjskiej musiał przerzucić się na przemysł drzewiarski (czyli rąbanie tajgi) w okolicach Pietropawłowska Kamczackiego. „Świeże powietrze, rzeczywisty kontakt z naturą o każdej porze roku, czasem pewnie przyjdzie jakiś lis, może nie byłoby to takie złe? –40, da się żyć, Czukcze przecież gdzieś tam żyją...” – Abushkin próbował się zmotywować do wykonania postępu godnego moralnej aprobaty rodem z książek jego dzieciństwa. „Borys Polewoj by tak zrobił. No a przynajmniej jego bohaterowie” – myślał Abushkin. Potem rozważał możliwe rezultaty swoich decyzji. Następnie rozważał samobójstwo. Pomyślał sobie, co też wie o Pietropawłowsku Kamczackim. Populacja 1798710. Kierunkowy +74152. Kody pocztowe: 683000–683099. Tablice rejestracyjne: 41, 82. Abushkin znalazł te informacje w głowie w ciągu sekund, nie na darmo szkolono go do bycia maszyną systemu. Poza nimi wiedział jeszcze coś: tam generał Fomin wybrał miejsce na daczę dla córki. Wieża z kamienia bez kamienia, smok bez smoka. Córa generała była predestynowana do bycia świętą. Kilka lat temu generał strasznie się wkurwił, że potencjalna święta się puszcza, dlatego też wybrał jej takie miejsce dla dochowania ślubów czystości. Ten wielki projekt wchłonął już kilkudziesięciu pracowników stołecznego działu FSB.

Było to i tak lepsze niż placówka w Machaczkałe, gdzie głównym zajęciem było robienie nalotu na jedyny burdel w mieście, bicie się z krajowcami, zazwyczaj trzeźwymi, i praca nad jachtem zacumowanym w kaspijskim porcie w Kaspijsku (jakby chcieli jeszcze dobić dekonników FSB tym, że tak bez polotu nazwali ten port).

Abushkin wiedział, że albo złamie swoje zasady, albo złamie swoją karierę. Kupił sobie trzy szklaneczki wódki Sibirnaja. Po pierwszej postanowił powiedzieć nie, ale zapalił, włączył Springsteena i wypił drugą. Po drugiej stwierdził, że dawno nie był na urlopie, więc może jednak. Zapalił sobie i włączył *Child in Time* Deep Purple. Jebło go solidnie po kręgosłupie, gdy weszły chórki. Po trzeciej przełączył na Joan Baez, spalił trzy z rzędu, płacząc rzewnie i poszedł dokupić kilka stakanczików. Za znak losu uznał to, że do sklepu wpadł o 22:50 i jeszcze zdążył zaopatrzyć się w symboliczne pół literka rozbitego na pięć części. Abushkin przełączył się na „Ne ver, ne bojsia, ne prosti”. Począł się czuć nostalgicznie. Czemu też zostawiła go żona? Lesbijka zapewne. Siódmą setę zakończył Iron Maiden i *Mother Russia*.

*Mother Russia*  
„Dance of the Tsars  
Hold up your heads  
Be proud of what you are  
Now it has come  
Freedom at last  
Turning the tides of history  
And your past”.

Bardzo mu się to spodobało i uznał, że ta wesoła piosnka koresponduje z ofertą pułkownika Fomina. Jeszcze dosłuchał *Fear of the Dark*, ale tam nie znalazł zbyt wielu nawiązań do swojej sytuacji, więc gdy o 3 rano sikał do zlewu, był przeświadczony o tym, że los uśmiechnął się do niego i że oferta Fomina związana jest z realizacją jego wymarzonej misji. Oczywiście ku chwale ojczyzny.



Następnego poranka żył w dramacie. Potrzebował setencji, żeby przejść do świata fabuły życia. Abushkin był pewien, że cały sklep patrzy na niego i go szpieguje. Z rozpędu wylegitymował nawet jakiegoś emeryta, który okazał się weteranem Stalingradu. Po tej operacji cały sklep naprawdę patrzył się na Abushkina. I na jego symboliczne piwko, czyli wstęp do setencji.

Podróż metrem była morderstwem, nawet bez pomyłonych przystanków. Stukot kół wbijał się w mózg agenta niczym ślepiea wilków w padlinę porzuconą koło Magnitogorska. Koło godziny 11 doczołgał się do centrali i zaniósł pułkownikowi Fominowi swoją odpowiedź. Wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie:

– *Towarzyszu pułkowniku, misję wykonam! Ku chwale ojczyzny!*

Pułkownik Fomin oszalał ze szczęścia, ale był wytrawnym żołnierzem szkoły FSB, więc nie dał tego po sobie poznać. Jednak nawet w jego myślach przewinęły się obrazy Anapy i biuściastych stażystek z biura położonego w tej części kraju. Próbował pokazywać, że mu to wszystko lata, ale Abushkin widział dobrze, że pułkownik chce skakać pod sufit, niczym dobrze wyszkolony akrobata. Widział też dorodną erekcję na spodniach swego przełożonego. Walcząc z ekstazą, Fomin wydał mu kwity rodem ze swego nalanego ryja – na wydanie pieniędzy potrzebnych na misję. W zestawie: zastrzeżona karta SIM, która miała stać się aktywna za dwanaście godzin. Abushkin podziękował, bo nie miał wyboru. Poszedł z kwitami, które zamienił na inne kwity, a potem te dokumenty udało mu się zamienić na rosyjskie ruble. Otrzymał 280 rubli. Wzniecił wielką kłótnię. W końcu jakieś pieniądze do defraudacji należały mu się. Po dramatycznych zajściach podbił kwotę do 500 rubli. Dumnie dzierżąc banknot z Archangielskiem, poszedł do pobliskiego baru prowadzonego przez imigrantów z Azji Środkowej. Musiał przygotować się do swojej wielkiej misji.

– *Kebaba ze wszystkimi możliwymi dodatkami!* – rzucił władczym tonem. W końcu on tu płacił, więc i on wymagał.

– *Na ostrio, z majoneziem, z chrzianem?* – odparła kobieta zza lady

– *NA OSTRO! KU CHWALE OJCZYZNY!* – krzyknął Abushkin. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że może nie wszyscy wiedzieli o tym, że nienawidzi ostrego jedzenia i że spożycie takowego związane jest dla niego z pewnym poświęceniem. Ludzie zdawali się raczej zamawiać według własnych upodobań, a nie ku chwale ojczyzny. Po około czterech minutach, odmierzonych zegarkiem Rakiet, otrzymał zamówione jedzenie. Zjadł je z obrzydzeniem.

– *JESZCZE JEDEN! Wszystkie dodatki i ostrzej!* – zakrzyknął Abushkin. Sam był pod wrażeniem swojej odwagi. Imigranci zebrani w barze wydawali się nie podzielać jego zachwytu. Kończyli dzień pracy i chcieli iść do domu. Nikt nie wiedział, że siedzący w ich pobliżu chłopak właśnie realizuje misję, newralgiczną z punktu widzenia bezpieczeństwa kraju. A ten jeszcze dolewał sobie sosu piri-piri do swojego posiłku.

– *KU CHWALE OJCZYZNY!* – krzyczał sobie w duszy z każdym kęsem, który go mdlił. Nienawidził ostrego jedzenia, ale wiedział, że tego dnia nie ma wyboru. Dopłacił 10 rubli za majonez. Jego kanapka spłynęła majonezem. Solą. Pieprzem. Jeszcze przed jej końcem wiedział, że jest gotów na misję. Za oknami tadżyckiego baru ściemniało się, a Abushkin już rwał się do działania. Wiedział, że musi poczekać do 22. Była 20:15, gdy skończył swój posiłek. Zamówił piwo.

20:25. Chciał wódkę, ale nie mieli. Poszedł do pobliskiego sklepu sieci Piateroczka i kupił połówkę.

21. Wódka w obiegu.

21:15. Wytrzymać. Dać radę. Chociaż klucz do toalety tak bardzo kusi...

21:30. Już bliżej niż dalej.

21:45. A gdyby tak iść wcześniej? Nie, jeżeli Fomin się dowie, to zniszczy. Lepsze to cierpienia niż tajga na Kamczatce.

22:00. Rozpoczynamy walkę o lepszą Rosję!

Abushkin ruszył ciężkim krokiem. Ledwo był w stanie iść. Tak bardzo chciał do toalety. Tyle tego ostrego jedzenia. Ten majonez... „KU CHWALE OJCZYZNY! ZA RODINU, ZA STALINA!” – dobiegły go głosy pokoleń. Człapał ostrożnie w stronę płotu rezydencji zachodniego dyplomaty. Wyciągnął przecinak do drutu i podziękował niebiosom, że mieszkający nie zdecydowali się na płot, a na siatkę z drutu. Przełożenie nóg przez płot zabiłoby go. Kilka minut później dopadł domu amerykańskiego ambasadora. Wywiad pułkownika Fomina nie zawiódł. Dom był pusty. Abushkin zlokalizował salon i rozpoczął realizację swojej misji.

Kilkanaście minut później opuszczał rezydencję. Wypełnił swoje zadanie. Ku chwale Rosji. Na pohybel imperialistom! Abushkina czekały piękne wakacje w Anapie. Razem z Varwarą z działu kadr. Abushkin wiedział jeszcze jedno: amerykańscy imperialiści nigdy już się nie podniosą po takim ciosie.

„The Washington Post”, 27 czerwca 2016 roku

„But many of the recent acts of intimidation by Russian security services have crossed the line into apparent criminality. In a series of secret memos sent back to Washington, described to me by several current and former U.S. officials who have written or read them, diplomats reported that Russian intruders had broken into their homes late at night, only to rearrange the furniture or turn on all the lights and televisions, and then leave. One diplomat reported that an intruder had defecated on his living room carpet”.

[13.09.2016]

Rosyjska muzyka przybiera różne oblicza. Z jednej strony Czajkowski, Prokofiew, Wysocki, Okudźawa, z drugiej Leningrad i Tatu. Dla każdego coś miłego! Spójrzmy więc, co też ciekawego znaleźliśmy w ostatnim czasie w otchłani muzycznego internetu Rosji.

Bywają takie cuda. Utwór podejmuje problematykę... bezbożnego podboju kosmosu! Od 3:20 mamy pana, który zaznaja nas ze strukturą narodowościową populacji Rosji, kaja się za grzechy i dokonuje oczyszczenia rosyjską ziemią, jak również samobiczowania tamburynem. Polecamy weganom, miłośnikom muzyki etnicznej i neopoganom.

Przed kolejnym nowym hitem pragniemy przypomnieć [pewien klasyk](#), by pokazać, jak trwały są pewne trendy kulturowe. Dzieci na obozowej dyskotecie bawiły się do tego. Jakość nie powala, ale są polskie napisy. Kiedyś dla Putina śpiewały takie ładne dziewczynki.

Czasy jednak się zmieniają, władza podlega pewnej erozji. W roku 2016 Władimir Władimirowicz dostał [utwór nieco bardziej tradycyjny](#), bo z harmoszką i z chórem w ludowych strojach. Zebrani bardzo chcą wyjść za mąż za Putina. Nie wiemy, czy harmonista też. Jeżeli ktoś nie rozumie po rosyjsku, to niech się cieszy. Ciekawe, czy ktoś to Wodzowi pokaże i jaka będzie jego reakcja. W sumie jest po rozwodzie, więc na rynku ślubnym całkiem do wzięcia, grupa wiekowa też bardziej ta niż te dzierlatki z poprzedniego klipu. Może się skusi na wokalistkę lub harmonistę. Jednak skoro tamtym dziewczynkom lata temu się nie udało, to i tym nie wróżymy większych szans.



## **Zwycięstwa ojczyzny nad emigrantem lub: Program 500 (euro) minus**

**[3.11.2016]**

Wysłaaliśmy to do kilku gazet i czasopism, tak z prawej, jak i lewej strony sceny politycznej. Ponad podziałami, nie odpowiedział nikt.

\*\*\*

Szanowna Redakcjo,

Piszę, by zwrócić Państwa uwagę na pewną sprawę, która mnie ostatnio dość zbulwersowała. Właściwie to dwie sprawy.

Trochę kontekstu: jesteśmy parą Polaków mieszkającą poza granicami kraju. Tak się nam życia poskładały, że postanowiliśmy wziąć ślub. Z kilku powodów chcieliśmy to zrobić raczej w ambasadzie polskiej niż w kraju, choćby dlatego, że wielu z naszych znajomych nie mogłoby przyjechać w wybranej przez nas dacie do Polski. Również dla nas wyprawa ta związana jest z koniecznością poświęcenia niemało czasu i zorganizowania wielu rzeczy. Dlatego też postanowiliśmy zalegalizować nasz związek na obczyźnie – cóż może być w tym trudnego w roku 2016? Zapewne niewiele, ale jakież było nasze zdziwienie, gdy odkryliśmy, że opłata za wzięcie ślubu w ambasadzie wynosi 500 EURO! Naprawdę.

Kwota ta wynosi o wiele więcej niż polska pensja minimalna, a właściwie jest blisko średniej krajowej. Nawet nie wiemy, czy to wszystkie obciążenia spadające na nowożeńców, bo po zdobyciu tej informacji porzuciliśmy nasz szalony pomysł. Niby nas stać, ale uważamy, że jest to solidna przesada; tyle pieniędzy za raczej banalną usługę urzędniczą? W końcu zawarcie związku małżeńskiego trwa poniżej godziny. Ile może kosztować przesłanie dokumentów do odpowiedniego urzędu w kraju? Wzięcie „takiego samego” ślubu w Polsce kosztuje 84 PLN. Co też powoduje, że cena „zagraniczna” jest jakieś 25 razy wyższa??? Bardzo chciałbym poznać powody, które sprawiają, że kosztuje to aż tyle. Bo przecież nie może być tak, że tak sobie wymyślono i amen.

Podobno naszemu krajowi zależy na przyroście naturalnym. Zakładając, że małżeństwo nierzadko jest wstępem do tematu, to chyba zadaniem Rzeczypospolitej powinno być nakłanianie ludzi do jego zawierania, a nie uderzanie w potencjalnych nowożeńców tak wysokimi opłatami. Trochę przeszukiwania internetu pozwoliło ustalić, że cenę tę wprowadzono w roku 2013 i że zrobił to rozporządzeniem ówczesny Minister Spraw Zagranicznych Radosław Sikorski. Wcześniej opłata ta wynosiła „jedynie” 180 euro. Też obłędnie dużo, ale jednak przy tym programie „500 euro minus” to niemal okazja. Może ktoś byłby w stanie ustalić jakież to dramatyczne okoliczności w roku 2013 wymusiły podniesienie tej opłaty niemal trzykrotnie? Szkoda, że kreująca się na prorodzinną obecna władza nie zmieniła taryfikatora.

To prowadzi nas do drugiego problemu, z którym miałem przyjemność ostatnio się zetknąć. Właściwie to nawet nie jest problem, to jest już tylko śmiech przez łzy, głównie nad moim straconym czasem. Ustalenie procedur związanych z zawarciem związku małżeńskiego

było dopiero początkiem przejażdżki na wesołej karuzeli śmiechu, którą to zafundowała mi ojczyzna. W końcu jak ślub, to musi być akt urodzenia. Paszport, dowód osobisty, prawo jazdy i kilka innych dokumentów to za mało, żeby ustalić, gdzie i kiedy się urodziłem, a integracja takich danych w systemie przecież nie jest dla Polski możliwa. Banki, serwisy aukcyjne, Google, Microsoft, sklepy internetowe i inne podmioty dokonują takich cudów od wielu lat. Ale co ja się skarżę, Polska też potrafi, od kilku lat mamy system ePUAP, który ma ułatwiać obywatelom załatwianie czynności urzędniczych. Do ślubu będę potrzebował aktu urodzenia, zdobędę go przez internet, oszczędzę czas, a w dogodnej chwili będzie jak znalazł.

O ja naiwny! Po rejestracji na stronie Profilu Zaufanego okazało się, że potwierdzenie danych użytkownika możliwe jest na kilka sposobów. Jeżeli życie obdarzyło nas szczęściem i mamy konto w PKO BP lub Inteligo, to możemy to zrobić za ich pomocą. Nie wiem, dlaczego państwowa platforma związana z załatwianiem spraw urzędniczych premiuje ludzi, którzy posiadają rachunek w komercyjnym banku Inteligo. PKO BP mogę zrozumieć, szkoda tylko, że je dołożono znacznie później niż Inteligo. Ale i tak nie daje mi to nic, bo nie mam konta w żadnym z tych banków. Myślę, że jeszcze parę milionów polskich obywateli może korzystać z oferty bankowej konkurencji. Założyłem profil, wpisałem potwierdzającego smsa (przysłanego na numer, który musiałem niedawno rejestrować, używając dowodu osobistego, oczywiście osobiście stawiając się w salonie firmowym operatora) i dowiedziałem się, że teraz muszę iść do urzędu lub ambasady. Próbowałem przypisać się do ambasady właściwej dla mego miasta, ale nie udało się: po wyborze punktu potwierdzającego cofało mnie do menu wyboru punktu potwierdzającego. No nie da rady, oba samce, jak nie klikałem i w jakiej przeglądarce nie próbowałem, czy na Linuxie, czy na Windowsie, było dokładnie to samo. Śmiertelna pętla klikania.

Stwierdziłem, że załatwię na miejscu, bo jestem głupi, a wtedy do tego myślałem, że ktoś ten system traktuje poważnie. Szczęśliwie nie mieszkam bardzo daleko od polskiej placówki dyplomatycznej, jednak coś mnie tknęło (hmm, doświadczenie zapewne) i zanim tam się udałem, rozpocząłem dzwonienie. Coś mi mówiło, że będzie grubo. I było. W poniedziałek nikt nie odbierał telefonu. We wtorek odebrano i powiedziano, że po zbadaniu sprawy oddzwonią do mnie. W czwartek oddzwoniono. Umówiliśmy się na kolejny poniedziałek. Polecono mi zarezerwować DWIE godziny. Naprawdę, dwie godziny to sugerowany czas konieczny do potwierdzenia tożsamości!!!

Ambasada przyjmuje takich zuchków jak ja w godzinach od 9 do 12 rano, oczywiście tylko w dni robocze. Akurat mam takie godziny pracy, że mogłem iść, ale dla wielu osób byłby to problem. Zapewne taki za tym stoi zamysł – większy problem, żeby przyjść, więc mniej „klientów”, tak jakby człowiek miał jakikolwiek wybór i mógł sobie załatwić sprawy urzędnicze na obczyźnie w innym miejscu. Nadszedł poranek, doczłapałem się do ambasady. 40 minut czekania. Przeczytałem wszystko, co mieli na ścianach, w tym np. to, że zgłoszenie wypadku w żegludze śródlądowej to koszt 300 euro. Fajnym krajem jesteśmy, nie dość, że ktoś miał wypadek, to go golimy na 300 euro. Niech wie, że życie to nie bajka!

Dobra, jest akcja, działamy, doczekałem się. Okazuje się, że jeżeli nie mam wybranej placówki do weryfikacji tożsamości, to nie mogę tego zrobić i pan z ambasady nie może mi przypisać swojego miejsca pracy. Aż poszedł sprawdzić, czy ja aby nie ściemniam, że nie mogłem wybrać tego punktu. Wrócił nieco wstrząśnięty, że nie kłamię i że naprawdę nie da się wybrać

żadnej placówki, i że też wpada w pętlę klikania. „Ano”, jak mawiają w ojczyźnie Rumcajsa. Obiecał poinformować o problemie kogoś, kto może go rozwiązać. Wcześniej nie da się sprawy ruszyć. Ponieważ weryfikacji tożsamości można dokonać tylko w ciągu dwóch tygodni od założenia profilu, to otrzymałem jeszcze takiego maila:

Witamy,  
informujemy, że Twój wniosek o potwierdzenie profilu zaufanego stracił ważność.

Straciłem łącznie ponad TRZY godziny, żeby nic nie załatwić. Tyle że dzięki tej wizycie wiem, żeby uważać, żeglując, bo w razie wypadku to dość drogo wychodzi. Niestety nie jestem ani o krok bliżej zdobycia potrzebnych mi dokumentów. Czas pokaże, czy kiedykolwiek będę.

Napiszę jedną pozytywną rzecz: pracownicy ambasady byli bardzo mili i pomocni, przynajmniej, na ile mogli. Ja dzięki naszemu głupiemu pomysłowi wzięcia ślubu w ambasadzie przypomniałem sobie bardzo dobrze, czemu z Polski wyjechaliśmy lata temu. Bo właśnie wszystko tak wspaniale działa, a ojczyzna na każdym kroku chce człowiekowi ściągnąć gacie przez głowę. Mało, jeszcze go za to solidnie skasować. Ileż to kosztował genialny system ePUAP? Nie kilka złotych, tylko miliony! Widzę (na Wikipedii) kwotę niemal STU MILIONÓW ZŁOTYCH!!! Niby Unia zapłaciła, więc „za darmo”. Tyle że nie działa. Tylko w polskich państwowych instytucjach możliwe jest wdrażanie systemu informatycznego trwające latami! Prywatna firma powiesiłaby takich informatyków za jaja i to na suchej gałęzi. A przede wszystkim by im nie zapłaciła, kazała znaleźć sobie inny fach, wyśmiała i tyle by było. Ale nasz kraj jest bogaty i stać go na takie ekstrawagancje. A poza tym to mój czas, a nie jakiegoś ministra cyfryzacji, a dla mojej ojczyzny mój czas jest nic nie wart, więc mogę sobie dylać po urzędach, bo przecież nie muszę zarabiać na chleb i piwo, tylko wolę popierdywać z całym stadem petentów w jakiejś poczekalni, żeby dostawać durne papiery, a najlepiej za nie słono płacić. Ludzie odpowiedzialni za obecny kształt systemu ePUAP powinni być wyciągnięci w samych gaciach z łóżek o 5 rano, następnie zostać przeczołgani na rynek, gdzie gawiedź rzuciłaby w nich jajami, pleśniejącą rzepą i zgniłymi pomidorami, a na koniec ogoliła im głowy, wytarzała w pierzu i wygoniła poza mury miasta. Nie jestem nawet pewien, czy widok czegoś takiego zrekompensowałby mi (i zapewne paru innym osobom) bezsensowne tracenie czasu spowodowane zapewne kombinacją niekompetencji, cwaniactwa i lenistwa. Ciekawe, czy też i korupcji.

Na koniec zostawiłem informację o tym, w jakim kraju miały miejsca te dramatyczne wydarzenia. W Rosji. Miewam czasem do czynienia z rosyjską biurokracją. Załatwiałem kiedyś numer podatkowy. Wizyta w urzędzie zajęła mi kilkanaście minut. Może miałem szczęście. Wiem jednak, że w Polsce nigdy szczęścia do urzędów nie miałem, a żyłem tam nieco dłużej.

Gdy przyszedłem do pracy i opowiedziałem znajomym Rosjanom tę jazdę, to myśleli, że się wygłupiam, koloryzuję i przeginam. No bo jak to system internetowy wymagający potwierdzenia osobistą wizytą? Jaki to ma sens i co ułatwia? Jak to taki system nie działa i nic nie załatwiłeś przez ponad dwie godziny? To nawet dla ludzi w Rosji (specjalnie nierozpieszczanych przez los, życie, władzę i biurokrację) jest absurdalnie kretyńskie. To nie tylko to, że nam uciekły Czechy, Łotwa, Estonia i wszystko co na zachód Europy. Z całą legendarną korupcją i dziedzictwem komunizmu Rosja jawi mi się jako kraj bardziej przyjazny



obywatelom niż Polska. Naprawdę, Rosjanie mają dużo mniej takich dramatycznych opowieści niż statystyczny Polak. Ilekroć widzę ten bezmiar przewalonych dotacji unijnych, te programy internetowe, szkolenia z ikebany dla stoczniovców lub kładzenie kostki brukowej w jakimś lasku, to mam ochotę strzelić baranka o ścianę i już więcej nie wstawać.

Ta przydługa, emocjonalna opowieść to właśnie moja sprawa numer dwa: czy istnieje szansa, że po pierwsze system ePUAP zacznie działać, a po drugie, że ktoś odpowiedzialny za tę katastrofę poniesie jakiejkolwiek konsekwencje? Powyższa epistoła to składowa odpowiedź na pytanie, dlaczego do Polski nie mamy zamiaru wracać: bo właśnie tak jest się traktowanym przez własną ojczyznę, za każdy jej błąd płaci się swoim czasem, a nierzadko i pieniędzmi.

Z poważaniem...



To ja! (z prawej)

Dla pewnego czasopisma przygotowałem wersję szczególną. Dla jedyne go w swoim rodzaju działu tygodnika „Chwila dla Ciebie”. Z racji pewnych wymogów edytorskich, nadałem temu następującą formę:

Postanowiłem założyć sobie profil zaufany na platformie ePUAP. To takie coś, na co Polska wydała pod 100 milionów złotych, ale to się nie wzruszyło i nadal nie działa. W odróżnieniu od portali komercyjnych, które kosztują mniej i działają. Aby uruchomić tam konto, musiałem stawić się osobiście w jednym z urzędów. Tak więc pojawiłem się tam i po odczekaniu swojego spotkałem się z urzędnikiem. Gdy ten dowiedział się, że chcę weryfikować profil, to od razu poprawił mu się humor. PRZECIEŻ TO PAŃSTWOWE! PAN ŻEŚ MYŚLAŁ, ŻE TO BĘDZIE DZIAŁAŁO??? Razem szczerze zaczęliśmy się śmiać. Ależ byłem głupi, poszedłem do polskiego urzędu i myślałem, że coś załatwię!!! Wspólnie zrywaliśmy boki na myśl o mej głupocie! Do dzisiaj poprawia mi się samopoczucie, gdy sobie wspominam, jakim ciężkim frajerem potrafię być. Niestety nie udało się znaleźć sposobu, żeby przesłać to na dłonie redakcji tego szlachetnego periodyku i być może wygrać 70 PLN...

[13.11.2016]

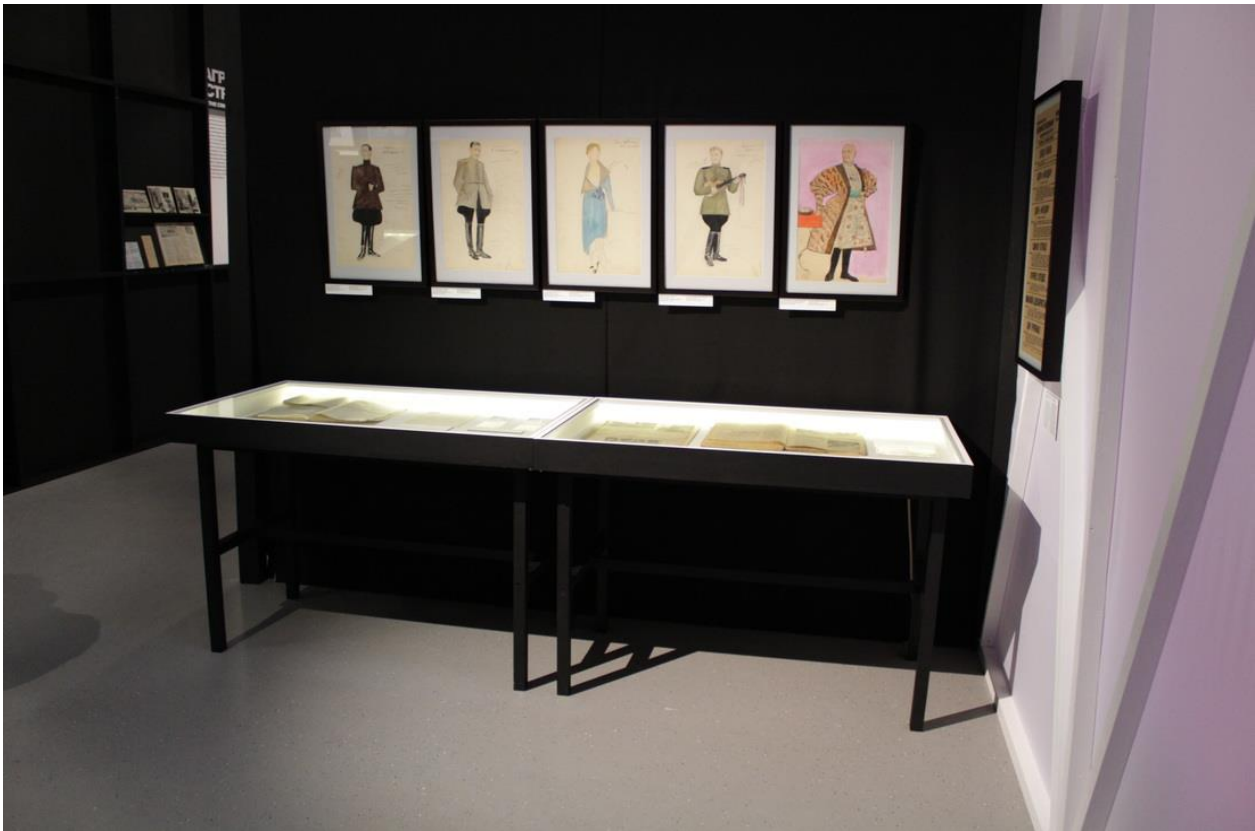
Życie pełne jest pytań. Zastanawiamy się, dlaczego wybuchają wojny, dlaczego ludzie poświęcają swoje życia w zamachach terrorystycznych, dlaczego ktoś pewnego dnia wstaje i morduje swoją rodzinę. Do tych pytań należy dopisać jeszcze jedno: kto zrobił wystawę dotyczącą Michaiła Bułhakowa w muzeum Nowy Maneż?

Do samego pisarza mam stosunek niemal nabożny. Zresztą nie ja jeden, bo w samej Moskwie Bułhakow ma dwa muzea, oba tłumnie odwiedzane przez stada wielbicieli. Oba są dość ciekawe, więc byłem niemal pewien, że Nowy Maneż ma solidne powody, żeby robić wystawę dedykowaną Michaiłowi Afanasjewiczowi. Co więcej, w sobotę 12 listopada odbywały się uroczystości poświęcone pisarzowi, więc idąc tam właśnie tego dnia, spodziewaliśmy się cudów. Czytano jego największe dzieło w różnych miejscach w Moskwie, w imprezę zaangażował się Google, a 11 listopada nawet internet w moskiewskim metrze witał okolicznościową grafikę z Małgorzatą latającą na miotle. Chyba nie takie dziwne, że w obliczu narodowych celebracji, po jednym z najważniejszych muzeów stolicy spodziewałem się ekstazy w temacie.

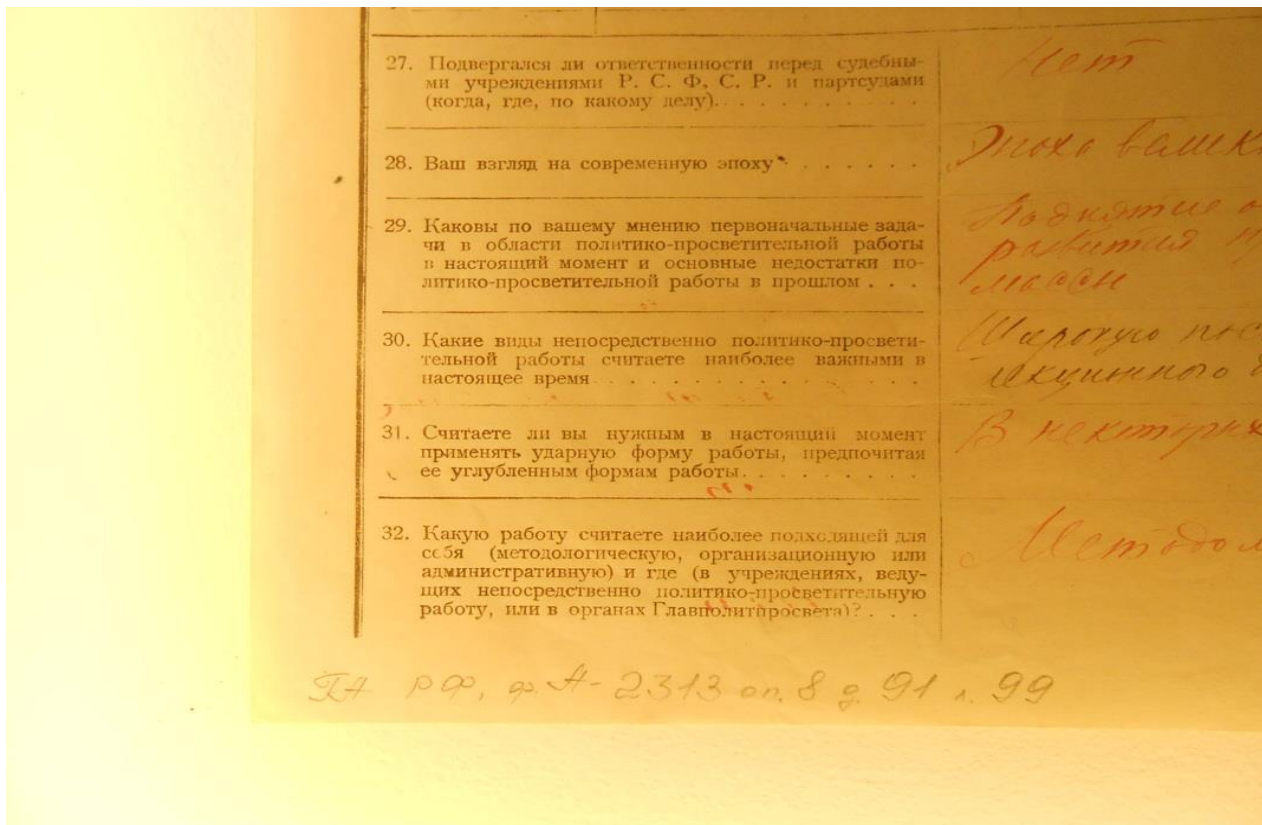
Wystawa składa się z dwóch, dość ogromnych sal. Tytuł wystawy to *Dwie biografie*, stąd i dwie części. W pierwszej możemy zapoznać się z wcześniejszymi etapami życia pisarza. Mamy eksponaty takie jak podania urzędowe, które wypełniał, wycinki z gazet, w których go wspomniano i nieco chaotycznie poprowadzoną historię życia, w której trochę rzeczy brakuje. Właściwie to już zwykła oś czasu z napisanymi datami byłaby lepsza niż zbiór tego, co udało się jakoś znaleźć w urzędniczych otchłaniach.



*Ładnie skomponowane wnętrze Nowego Maneżu*



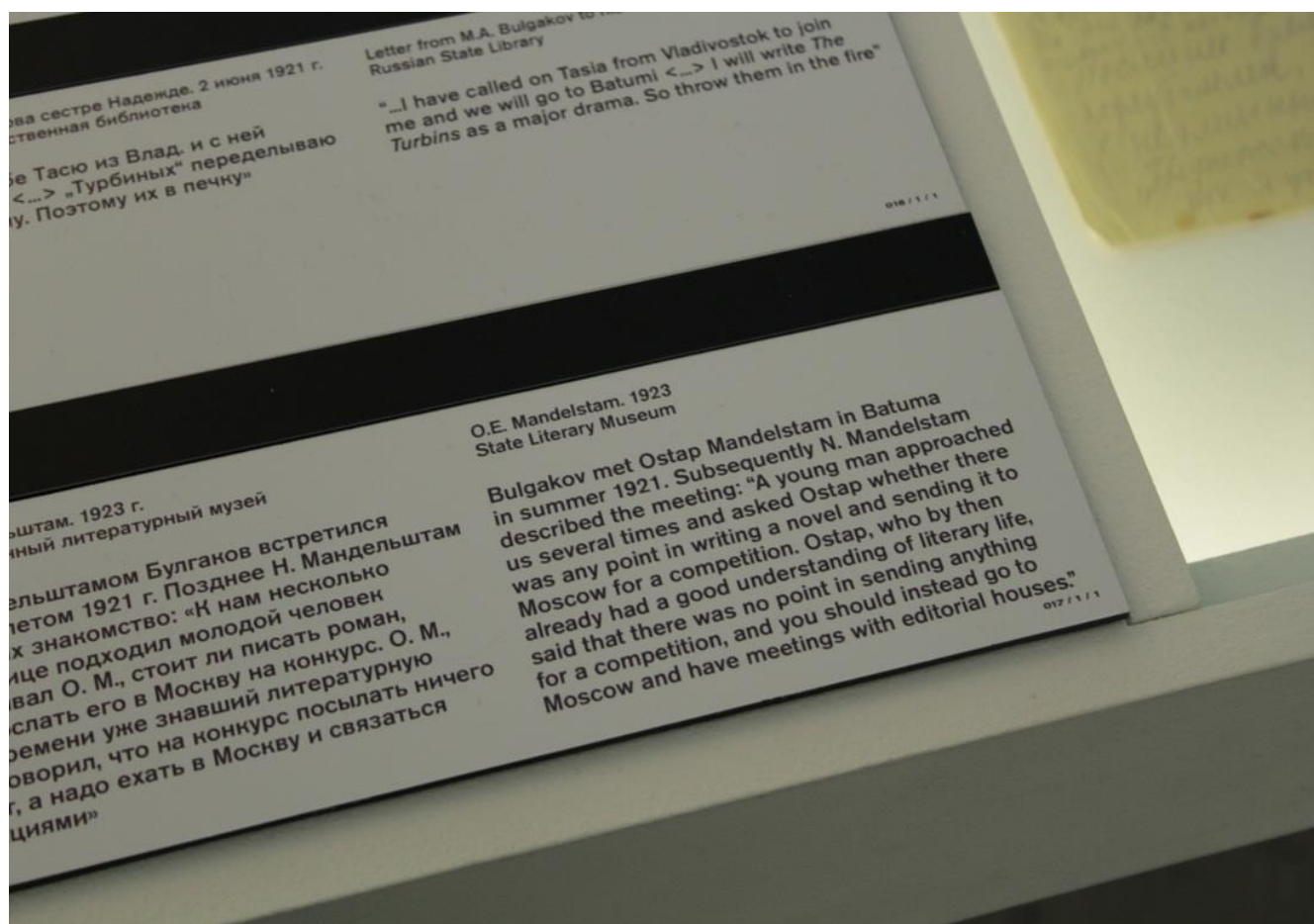
*Projekty kostiumów teatru, w którym pracował bohater wystawy*



*Trochę bumagi nikomu jeszcze nie zaskoczyło.  
Polecamy pytanie 28 – Jak oceniacie współczesne czasy?*



Jeżeli ktoś nie wie dokładnie, co w jakiej kolejności zostało napisane, to będzie zagubiony jak harcerz w burdelu. Jeżeli ktoś nie wie, to nie dowie się, które dzieła były większym hitem, a które mniejszym. O takim *Biegu* nie ma chyba ani słowa (przyznam, że w pewnym momencie poddałem się z dokładnym czytaniem opisów, bo moja cierpliwość ma pewne granice). O tym, że Bułhakow był z wykształcenia lekarzem, wspomniano tak mimochodem. Trudno przeżyć ekstazę związaną z jakimś listem z wakacji do znajomej. Dość ciekawe są też podpisy angielskie. Zazwyczaj moskiewskie muzea nie oferują rozrywki na miarę chińskich obiektów, tu jednak tłumacz nieco poszalał: po pierwsze mamy dość dziwaczny dobór słownictwa (i dobrze sprawdzać z wersją rosyjską, bo czasem po prostu przepisywano słowo rosyjskie na angielski), a ponadto odkrywamy istnienia miasta Batuma i wielkiego poety Ostapa Mandelsztama (SIC!!!). Są też kawałki o Stalinie i sugerując się nimi, można pomyśleć, że był niemal mecenasem Bułhakowa, wspierał go i byli w kontakcie. Stalin pomógł Bułhakowowi z pracą. Jest legenda o pewnej rozmowie telefonicznej (w której Stalin miał pytać Bułhakowa, czy chce wyjechać z ZSRR, czy jednak zostać, Bułhakow miał wybrać raj), ale akurat pisarzowi udało się pozostać w miarę daleko od systemu. W pierwszej sali czekają nas jeszcze kostiumy teatralne i kilka nawet ciekawych zdjęć pisarza, np. w charakteryzacji. Dowiadujemy się też, że Bułhakow bardzo chciał wyjechać z kraju, jakim było ZSRR, ale nie dali mu paszportu (czyli tej rozmowy chyba jednak nie było...).



Batuma. Ostap. Nie słyszeliście o autokorekcje?

Книга принадлежала М. Булгакову.  
На титульной странице его рукой  
сделана запись: «страницы,  
на которых упоминаются мои пьесы...»

M. Bulgakov owned the book. He made  
a note on the front page: "the pages,  
which mention my plays..."



М. А. Булгаков и режиссер Л. В. Баратов.  
1927 г. Батум  
Цифровой отпечаток  
Российская государственная библиотека

M.A. Bulgakov and director L.V. Baratov.  
1927. Batumi  
Digital print  
Russian State Library

006 / 2 / 3

Главн. Управлен.

Копия.

94

Pełna dzida. Początki awiacji. Po tym doświadczeniu autor przerzucił się na latanie na miotle

Дневник Е. С. Булгаковой с записью по памяти  
телефонного разговора М. А. Булгакова  
со Сталиным. Запись от 4 января 1956 г.  
Российская государственная библиотека

Diary of E.S. Bulgakova, with entry on recalling  
telephone conversation between M.A. Bulgakov  
and Stalin.

Note from 4 January 1956  
Russian State Library

18 апреля 1930 г., после обеда, когда  
Булгаков отдыхал, в квартире раздался  
телефонный звонок и писатель  
услышал голос Сталина:

On 18 April 1930 after lunch, when  
Bulgakov was relaxing, the phone rang  
and the writer heard Stalin's voice:

— Вы где хотите работать?

— Where do you want to work?

В Художественном театре?

At the Art Theatre?

— Да, я хотел бы. Но я говорил об этом,  
и мне отказали.

— Yes, I would like that. However,  
I said as much, but was refused.

— А вы подайте заявление туда. Мне  
кажется, что они согласятся. Нам бы  
нужно встретиться, поговорить с вами...

— Well, then file your application here.  
I believe that they will agree. We need

— Да, да! Иосиф Виссарионович, мне  
очень нужно с вами поговорить. На  
следующий день Булгаков был принят

to meet, I need to talk to you...

в МХАТ на должность режиссера-  
ассистента. Встреча Булгакова  
и Сталина так и не состоялась

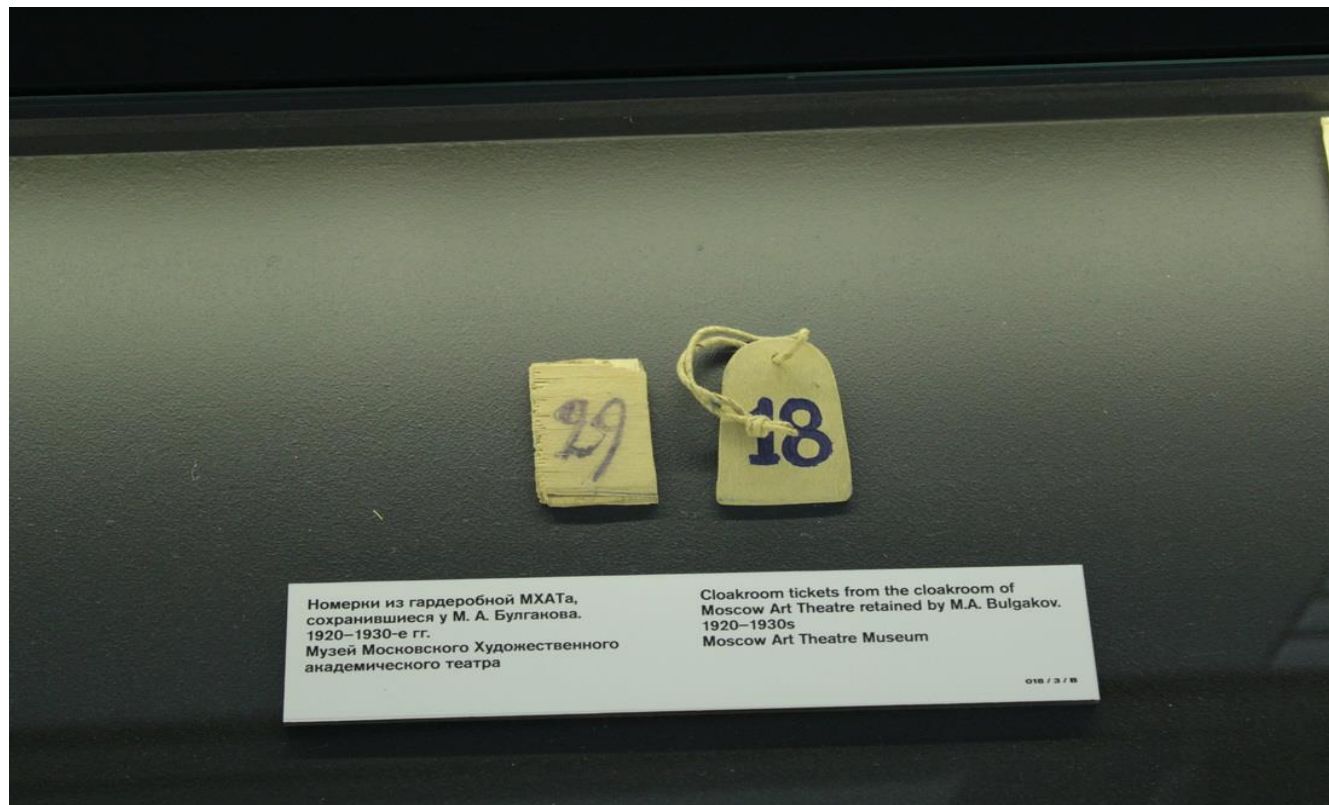
— Yes, yes! Joseph Vissarionovich,  
I really need to talk to you. The next day  
Bulgakov was admitted to Moscow Art  
Theatre as Assistant Director. Bulgakov  
and Stalin never met

112 / 2 / 3

Mityczna rozmowa telefoniczna z (baczność) Stalinem (spocznij)



Myśleliśmy sobie, że skoro pierwsza część koncentrowała się na twórczości wcześniejszej, to cała druga sala będzie poświęcona *Mistrzowi i Małgorzacie*. Nie spotkałem nigdy nikogo, kto by kochał Bułhakowa za jakieś *Dni Turbinów* czy *Białą gwardię* bardziej niż za *MiM*. Po drodze przeszliśmy jeszcze przez dziko kuriozalny zbiór eksponatów okołoteatralnych – pianino, dwa krzeselka teatralne i numerki garderobiane z czasów życia pisarza.



*Numerki do szatni teatralnej. Ta jakość wykonania!*



*Kwartira. Niby niecharasza, ale i tak wydaje się lepsza od naszej...*





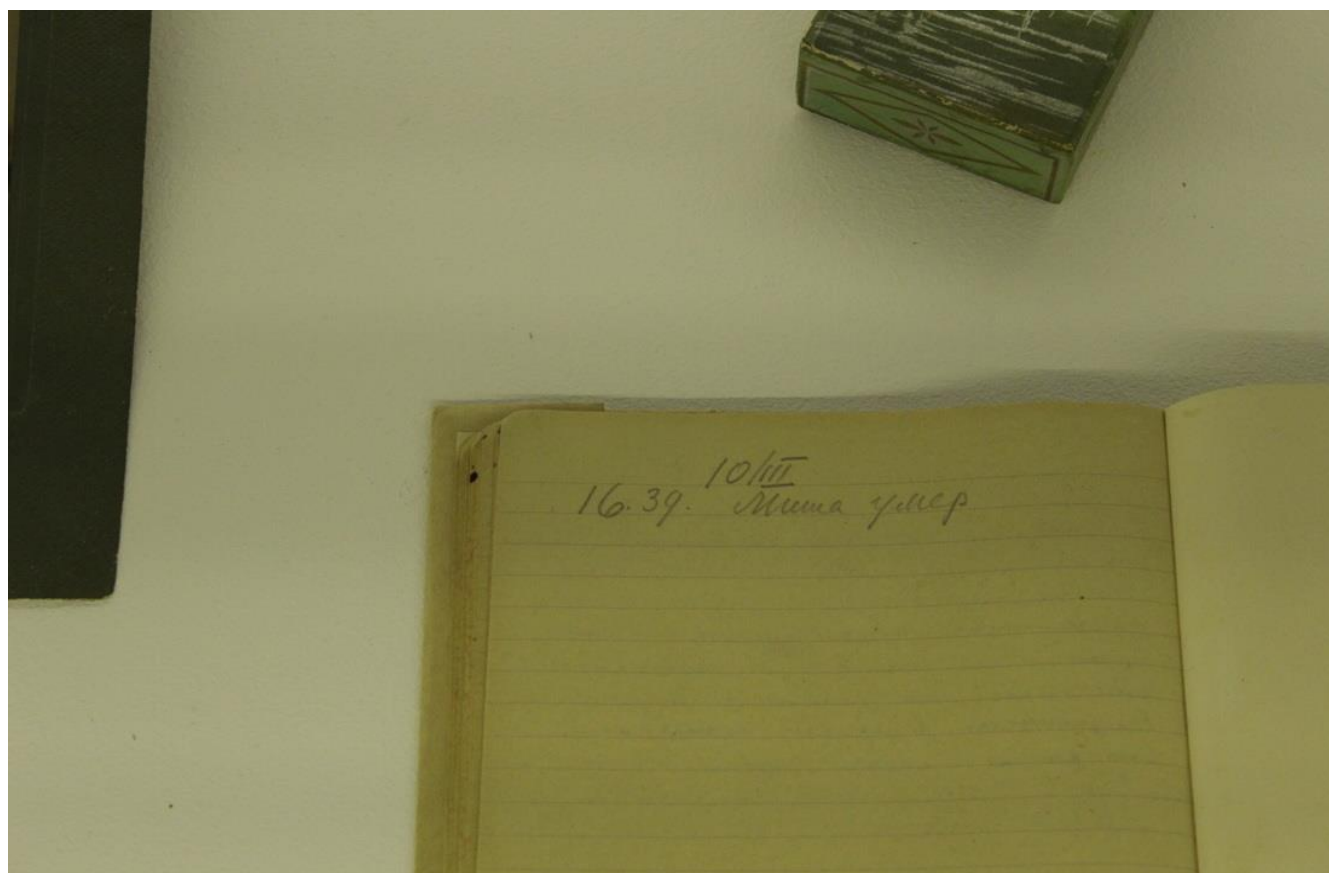
*Sztuki musiały być naprawdę dobre, jeżeli ktoś na tym wysiedział...*

Sala numer dwa powitała nas swym ogromem i rozwieszonymi kawałkami płócien. Już od drzwi wiało pustką, nieco zwiędliśmy. Trochę poprawił nam humor odtworzony plan mieszkania pisarza. Jednak widać było, że dramatycznie brakowało eksponatów. Nawet tych klasy „formularz urzędowy wypełniony przez pisarza”. W najciekawszej z gablotek były rzeczy Michaiła Afanasjewicza – papierośnica, okulary przeciwsłoneczne, włosy obcięte po śmierci. Kartka zapisana przez partnerkę: „16:39 – Misza umarł”. Trochę mnie to rozbawiło, jakby sobie żona pisała wydarzenia dnia:

- 16:39 – Misza umarł;
- 16:50 – kupiłam marchew;
- 17:15 – stałam w kolejce po mięso.



*W tym pudełku kryje się włos. Albo i więcej. Nie pokazali, to nie wiemy*



*Pa, Miszo*



*Tajemnicze gogle, papierośnica, pióro i niestety nie pojemnik na mocz, a tylko na leki – czyli przedmioty należące do pisarza*



*Resztki eksponatów z mieszkania i pani kustosz, która nieudolnie próbuje wtopić się w tło*

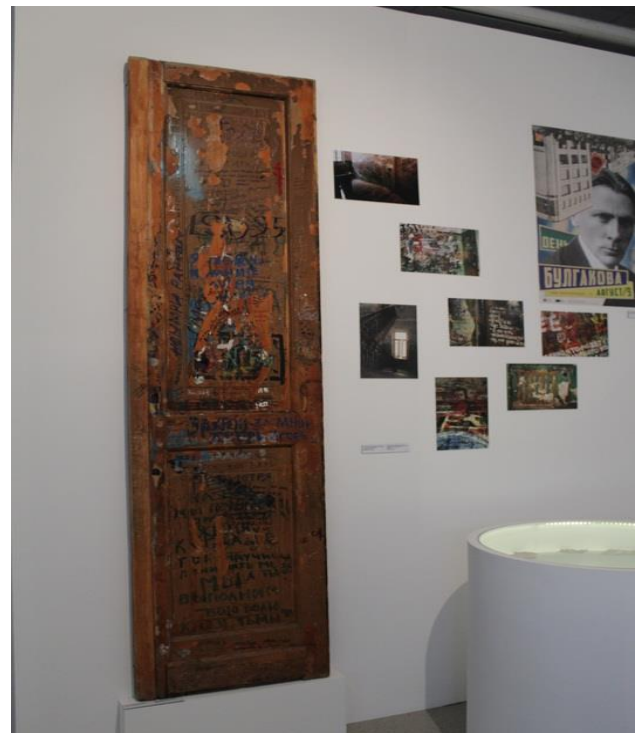




*Więcej targu staroci*

Poza tym były losowe walnięte książki w językach „całego” świata – może z dziesięciu. Największą radość sprawiał wszystkim dość klimatyczny neon. Problem tylko taki, że był on raczej mało powiązany z samym pisarzem.

Były zdjęcia klatki schodowej z „Niecharaszej kwartiry” – tu gratulacje idą do kretynów, którzy wymyślili restaurację tego obiektu, który dla wielu jest kultowy (szczęśliwie jest już na nowo zapisana). Trochę obrazków do animowanej wersji *MiM*, która w końcu nie powstała.



*Bramy nie-raju, czyli wszystko, co udało im się przechwycić z kwartiry*



*Neon Jenot*

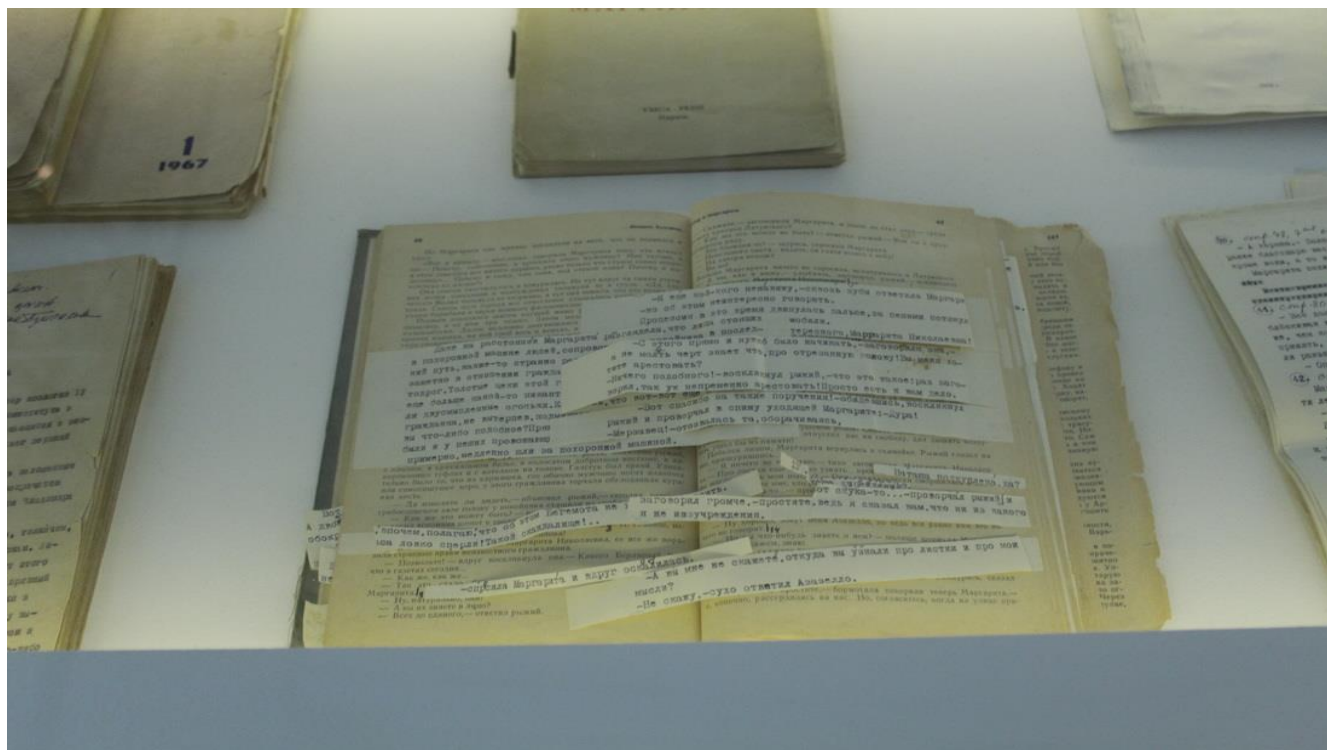


*Neon Aligator*



Maziaje jednej z byłych żon pisarza – szaszłyk z serc i Taszkient

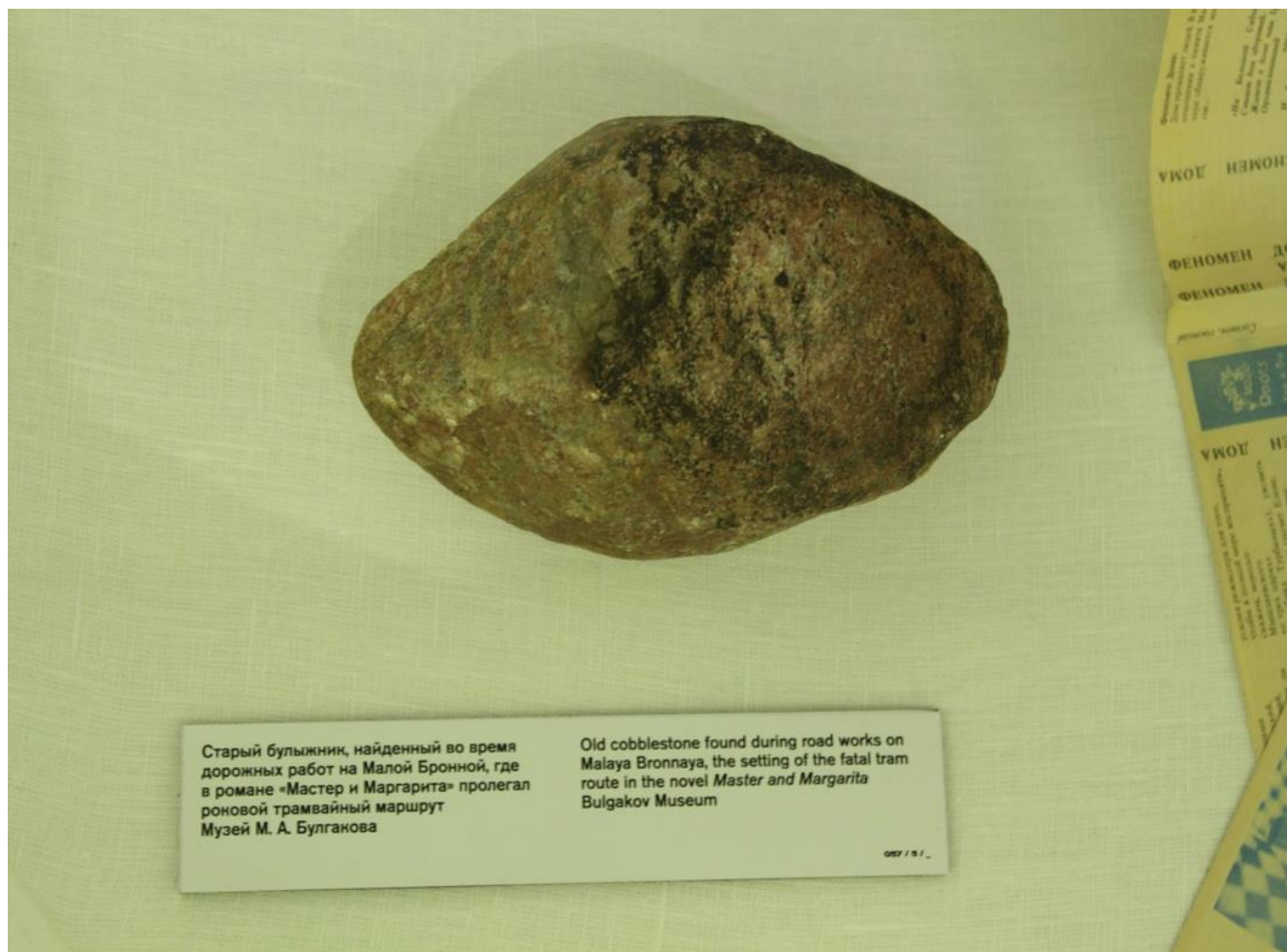
Szkice do Iwan Wasilijewicz zmienia zawód – wersji filmowej, nie sztuki scenicznej. Najbardziej pomysłowym obiektem była ocenzurowana wersja wiadomego dzieła pisarza.



To na kawałkach papieru to cenzura!



Jednak o samej książce więcej dowiedzieć się możemy ze zbioru ciekawostek na Wikipedii. Wystawa honoruje pięćdziesiątą rocznicę wydania *MiM*. Nie wspomina jednak, dlaczego to pisarz nie doczekał tego dnia. Nie dowiemy się też, że Bułhakow swe największe dzieło pisał dwanaście lat, że po drodze je spalił, że to, że ujrzało światło dzienne, było zasługą jego żony, która przez lata przepisywała tekst powieści na maszynie i walczyła, żeby w końcu to wydano. Nie dowiemy się, że parę osób się jego wizją szatana nieco zainspirowało (np. The Rolling Stones). Że jest to dzieło nierzadko wygrywające zestawienia ukochanych książek ludzi na całym świecie. Właściwie to nie dowiadujemy się niczego. Znowu, jeżeli ktoś się w tym wszystkim nie orientuje, to już w ogóle nie będzie miał pojęcia, co to za losowe obrazki.



*Kamień, ale nie z Jeleniej Góry*

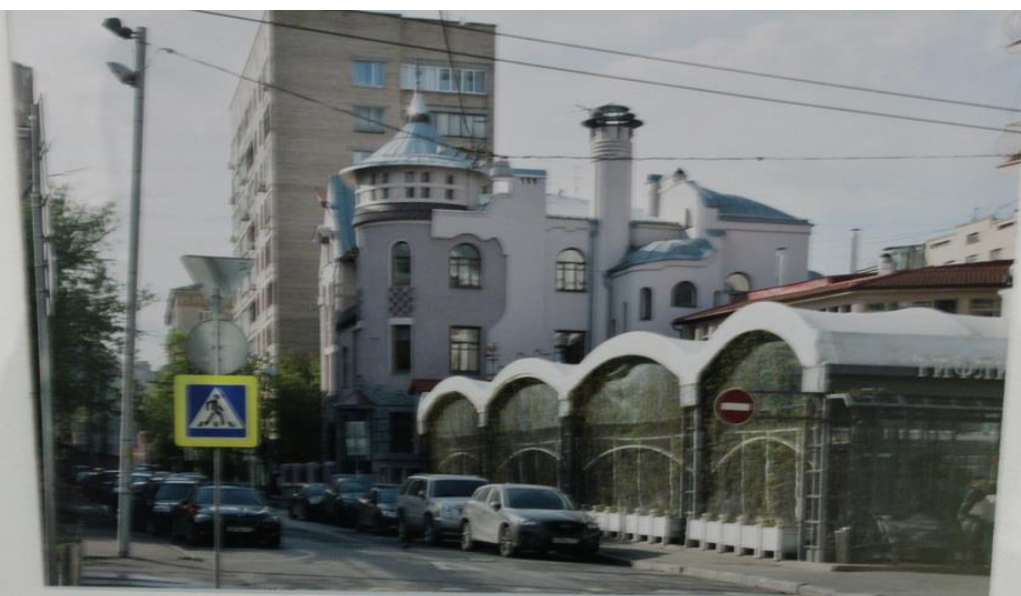
Rekordem kuriozum i biedy jest kamień z bruku, po jakim jeździł tramwaj, który uciął głowę Berliozowi. Na litość, kurwa, boską! Nie mówimy o czasach Ramzesa, taki bruk to sobie można znaleźć bez większych problemów niemal w centrum miasta.



Вид Мансуровского переуллка. 1913 г.  
Фонд «Московское время»

View of Mansurovsky Pereulok. 1913  
Moscow Time Foundation

*Dom Małgorzaty numer 1*



«Особняк Маргариты» —  
Мансуровский переуллок, 4. 2016 г.  
Архив фонда «Московское время»

Margarita's Residence —  
4 Mansurovsky Pereulok. 2016  
Archive of Moscow Time Foundation

*Dom Małgorzaty współcześnie – ten blok z tyłu poprawił nudny obraz miasta!*



Особняк Кекушевой  
на Остоженке. 1904 г.  
Фонд «Московское время»

Kekusheva's Residence on  
Ostozhenka, 1904  
Moscow Time Foundation

*Dom Małgorzaty numer 2*



Дом З.Г. Морозовой  
на Спирidonовке. 1907 г.  
Фотографический фонд  
«Московское время»

Z.G. Morozova's house  
on Spriidonovka, 1907  
Photograph from Moscow  
Time Foundation



«Особняк Маргариты» —  
Спирidonовка, 12, 2016 г.  
Архив фонда «Московское время»

Margarita's Residence —  
12 Spriidonovka, 2016  
Archive of Moscow Time Foundation

*Dom Małgorzaty nr 3 (co za burżuazja!!!)*





*Inne ujęcie któregoś z domów, już dawno temu straciliśmy zainteresowanie...*

Kolekcja zdjęć domu Małgorzaty też nie zrywa hełmu, chociaż to przynajmniej bardziej na temat. Sklepik muzealny to – dla odmiany od biedy – nędza wpisująca się w konwencję drugiej sali: ołówek za 32 ruble. Magnesy z cytataми po 160. Dzieła Bułhakowa po rosyjsku, w tym tak niby ładnie zrobiony *Mistrz i Małgorzata*. Problem, że lata temu widziałem o wiele ładniejsze wydanie. Na pożegnanie obsługa poprosiła nas o wypełnienie ankiety zadowolenia na tablicie. Ankieta pytała, czy trudno było znaleźć wystawę, czy obsługa nie była chamska i czy szatnia działała. Nie było ani jednego pytania o to, czy nam się ta wystawa w ogóle podobała i czy uważamy, że miała sens. W efekcie zbiorą oceny, że ludzie nie zgłaszają sprzeciwów, inicjatywa muzeum spotkała się z pozytywnym odzewem mas odwiedzających, przyznać środki na premię dyrektorowi! Żeby chociaż garderobianej... A tak płacimy 300 rubli za raczej żmudne przedzieranie się przez smutny, poźółkły papier. Ja bardzo dobrze wiem, że w Rosji panuje kult papieru, formularzy wszelakich i biurokracji, samemu temu zjawisku dałoby się zrobić wielkie muzeum, ale jednak jak idę na wystawę o Bułhakowie, to chcę czegoś innego niż to, co mam w pracy każdego dnia.

Gdybym ja miał robić taką wystawę, to wpakowałbym jakieś interaktywne rzeczy – to jest Maneż, muzeum w samym centrum Moskwy, a nie mała galeria na obrzeżach Tambowa z budżetem jak Iwan na wódkę na weekend, można chyba było postawić jakiś ekran dotykowy i dać ludziom choćby zabawę w dopasowywanie cytatów. W jednym z dwóch muzeów Bułhakowa jest taki sklepik z pamiątkami, że każdy coś kupuje – bo są koszulki, koty, pocztówki,

a nawet kot z wódką. Tymczasem tu była taka smuta, że nawet za darmo by się nie chciało tych rzeczy – udało się to, że plakat z Bułhakowem jest solidnie taki sobie.

Dalej, tyle osób kocha tę książkę, że gdyby dać ludziom po kartce, żeby napisali czemu i przylepili na ścianie (taki patent ma np. Muzeum Solidarności w Gdańsku i Muzeum GUŁagu w Moskwie), to mielibyśmy szybko fajną ekspozycję, która pozwalałaby się jakoś w to wciągnąć. Było tyle scenicznych adaptacji sztuk Bułhakowa, że można było nawalić zdjęć z różnych, np. tak zrobili we Włoszech, tak w Taszkencie, a tak w Japonii (zakładam, że coś tam jego wystawili kiedyś). Może coś o serialu? Może coś z niego pokazać? A gdzie tam.

Niestety zrobiono wystawę podług najgorszych doświadczeń muzeów całego świata. W efekcie powstał taki typowy horror, który sprawia, że większość osób do muzeów nie chodzi, bo i po co? Żeby się ponudzić? Obrazek jest taki, że nieliczni odwiedzający snują się od gablotki do gablotki, po jakiejś dziesiątej zaczynają chodzić szybciej, bo opisy są tak beznadziejnie suche i nudne, że zamęczą największego pasjonata pisarza (np. autora tych słów). Twórcy tej wystawy okazali się być jak Midas, tyle że zamienili życie i twórczość Bułhakowa nie w złoto, a w coś, na co dzieci po rosyjsku mówią „kakaszka”. Wydawałoby się, że jeżeli robi się wystawę, która ma być pokazywana przez kilka miesięcy (od 28 października do 9 stycznia), to musi się mieć na to pomysł i musi się mieć powód lepszy niż 50-lecie pierwszego wydania książki. Ten ciekawy pomysł z cenzurą niestety nie znajduje rozwinięcia, no bo przecież trochę siara, że cenzurowaliśmy jedną z największych powieści XX wieku. To pomińmy to może milczeniem, może klient się nie domyśli.

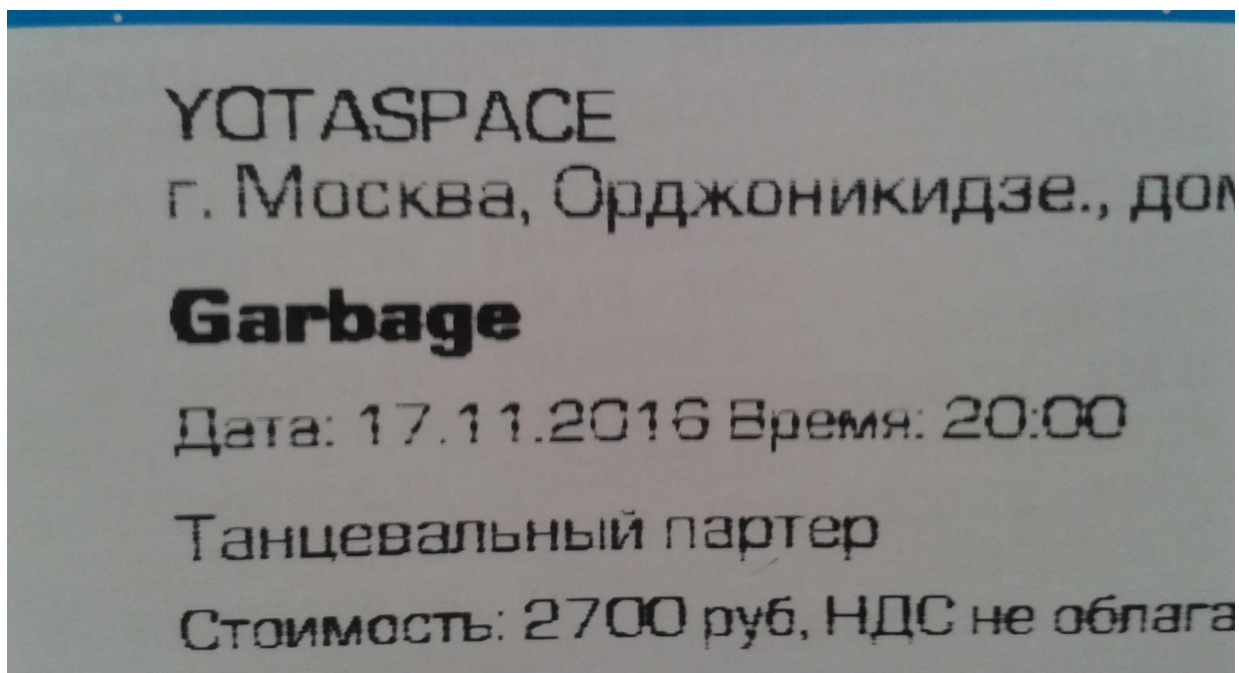
Aż trudno uwierzyć, że postanowiono to pokazywać ludziom. Boli tym bardziej, że rosyjskie muzea potrafią mieć dobre i bardzo dobre wystawy. Niestety, ta się do takich nie zalicza.

## This is the noise that keeps me awake

[20.11.2016]

Nazwy handlowe często lubią kłamać. Dobrze to znamy; najlepsze piwo świata, cudowne chipsy, dietetyczna cola, atrakcyjna oferta, prawo, sprawiedliwość. W ten gąszcz zamieszania wpisuje się Garbage. Mimo obietnicy zawartej w nazwie, ich muzyka to nie śmieci. Do tego oszaleli i postanowili zagrać w Moskwie. Nawet dwa koncerty! Dołożyć do tego wypada wcześniejszy w Petersburgu, późniejszy w Jekaterynburgu, jeszcze po drodze był Kijów i wychodzi, że albo uwielbiają tę część świata, albo ktoś im podaje całkiem charaszą kopiejkę za zapuszczanie się do Europy Wschodniej. Na moskiewskie koncerty bilety kosztowały 2700 rubli za czwartek i 3000 za piątek. Srogo, ale na podobnym poziomie, co w innych krajach, a nawet taniej od np. Australii. Do tego Yotaspase to dość mały klub, a nie stadion na kilkadziesiąt tysięcy ludności, więc dało się to lyknać.

O tym, że Garbage to nie śmieci, wiadomo od około dwóch dekad. Co dość dziwne, nawet ich ostatnia płyta nie wpada w kategorię odpadów. Po pierwszych paru przesłuchaniach średnio mnie cieszyła, ale coś tam chwyciło. Popiłowałem ją solidniej i nagle stała się jedną z najchętniej przeze mnie słuchanych płyt roku 2016. Przez lata trasy koncertowe Garbage bardzo się rozjeżdżały z moimi miejscami zamieszkania. W zeszłym roku też występowali w Moskwie, grali trasę z okazji dwudziestolecia wydania swojego debiutu. Wydawało mi się to nieco biednym pomysłem i próbą odcinania kuponów. Z drugiej strony, chciałem się na nich przejść, bo w końcu kawał legendy, ale jeszcze większym świętem niż wybranie się na koncert jest dla mnie pójście do pracy, więc wybrałem uczenie ludzi w godzinach niecywilizowanych, zamiast oglądania popisów Shirley Manson. W roku 2016 przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy zespół, który ma ponad 20 lat i w którym niektórzy mogą już przejść na emeryturę, może mnie przynajmniej nie zasmucić na żywo.



*Zawsze miło iść na tancewalnyj parter*



Dopiero po analizie setlist zdecydowałem się na inwestycję w ten wygłup. Na tej trasie zespół dość stabilnie gra swoje największe hity z delikatną wkładką z nowych kawałków. Jest trochę zmiennych, ale dobre 80% setów to żelazne pozycje, a przy tym nawet udało im się wpakować trochę mniej oczywistych kawałków. Na papierze wyglądało to mocno, pytaniem pozostawało, czy na żywa będzie wyglądało porównywalnie interesująco.

Robotę skończyłem o 19 i właściwie przeklinałem się za pomysł pójścia na ten koncert, bo leciałem na ryj ze zmęczenia. Miałem już bilet, więc nie było odwrotu. Do klubu dotarłem o jakieś 19:45, stwierdziłem brak kolejki przy wejściu i poddałem się obszukaniu. Było to zaskakująco dobrze zorganizowane, trzy bramki, ochrona w garniturach, wszyscy bardzo mili, udało im się nawet pogodzić z tym, że ludzie miewają blachę w butach i że to dlatego dzwonią one na bramce.

Kilka minut po 20 wyszedł support, rosyjski zespół Slightlykilld. Widać było, że się cieszą, że mogą grać dla jakiejś publiki. Niestety brzmiało to jakby mieli jedną piosenkę, za to postanowili zaprezentować ją nam kilka razy. Gitarzysta starał się, jakby grał przynajmniej stadion na 50 tysięcy, wokalistka to tak na 20, basista i perkusista chyba mieli nieco poczucie siary i koncentrowali się na graniu. Kamerzystów latało tam więcej niż jak Led Zeppelin grało koncert w 2007. No cóż, starali się, więc *killd* nie, ale *slightly* nudnawo niestety tak. Szczęśliwie, ich występ odbywał się w minimalnym wymiarze kary, po 30 minutach podziękowali i poszli sobie. Oczekiwanie na Garbage ciekawszym uczynił Billy Bush, mąż Shirley (zapewne sam określiłby się producentem muzycznym), który obecnie ma taką brodę, że chyba tylko Kerry King gra w tej lidze. Mógłby w tym hodować jenota i jeszcze zmieściłoby się kilka piw.

O 21:00 światła zgasły, zaczęło rzeźić i pojawił się główny powód obecności w klubie tego dnia. Wyszli, stanęli i...

Na tej trasie są trzy otwarcia: *Supervixen*, *Subhuman*, *Sometimes*. Wszystkie na S, a z tej trójcy *Supervixen* jest moim ulubionym. No i *Supervixen*. Było trochę ściany dźwięku, trochę się to rozjeżdżało, niektóre rzeczy słyhać było gorzej, ale dynamicznie spacerująca po scenie Shirley i *Supervixen* rekompensowały to z nawiązką. Zagrali to z takim wykopem, że aż się zdziwiłem, najbardziej chyba tym, że Steve Marker kontroluje gitarę i sample, a przy tym znajduje czas, żeby rozwinąć jakiś ruch sceniczny. Jako drugie poleciało *I think I'm Paranoid* i tym samym mogłem skreślić jeden z ważniejszych powodów przyjscia na koncert. Zespół solidnie gra i się giba, Shirley macha łapami, skacze, chodzi po całej scenie, od lewej do prawej i wystawia mikrofon nad publiką, żeby ludzi podjudzić do śpiewania. Może tam trochę te sample nie brzmią idealnie, ale pełna pompa.

Teoretycznie. Praktycznie przeważająca większość zebranych stała jak zamurowana. Na Cohenie ludzie się więcej ruszali. Sobie myślę: to nie jest jakiś festiwal, to nie jest zespół grający z łapanek dla przypadkowych ludzi czekających na coś innego. Przyszliśmy tu na koncert rockowy. Grupy rockowej, która nie gra nuty w stylu Sigur Ros, tylko taką z wykopem. To jest chyba najbardziej miotający kawałek z ich wszystkich. Więc co się dzieje? Zespół się giba solidnie, Shirley się wali po łbie, chwytą za kiecę, odwala całą galerię kocich ruchów, a ludzie nieśmiało klaszczą.

Dlaczego zebrani na poziomie piątego rzędu stoją jak sparaliżowani? Połowa miała wyciągnięte telefony i nagrywała. Druga połowa stała bezrefleksyjnie. Jak jest to zajebiste pierdolnięcie „Maim me, tame me, you can never change”, to tam nie powinien zostać kamień

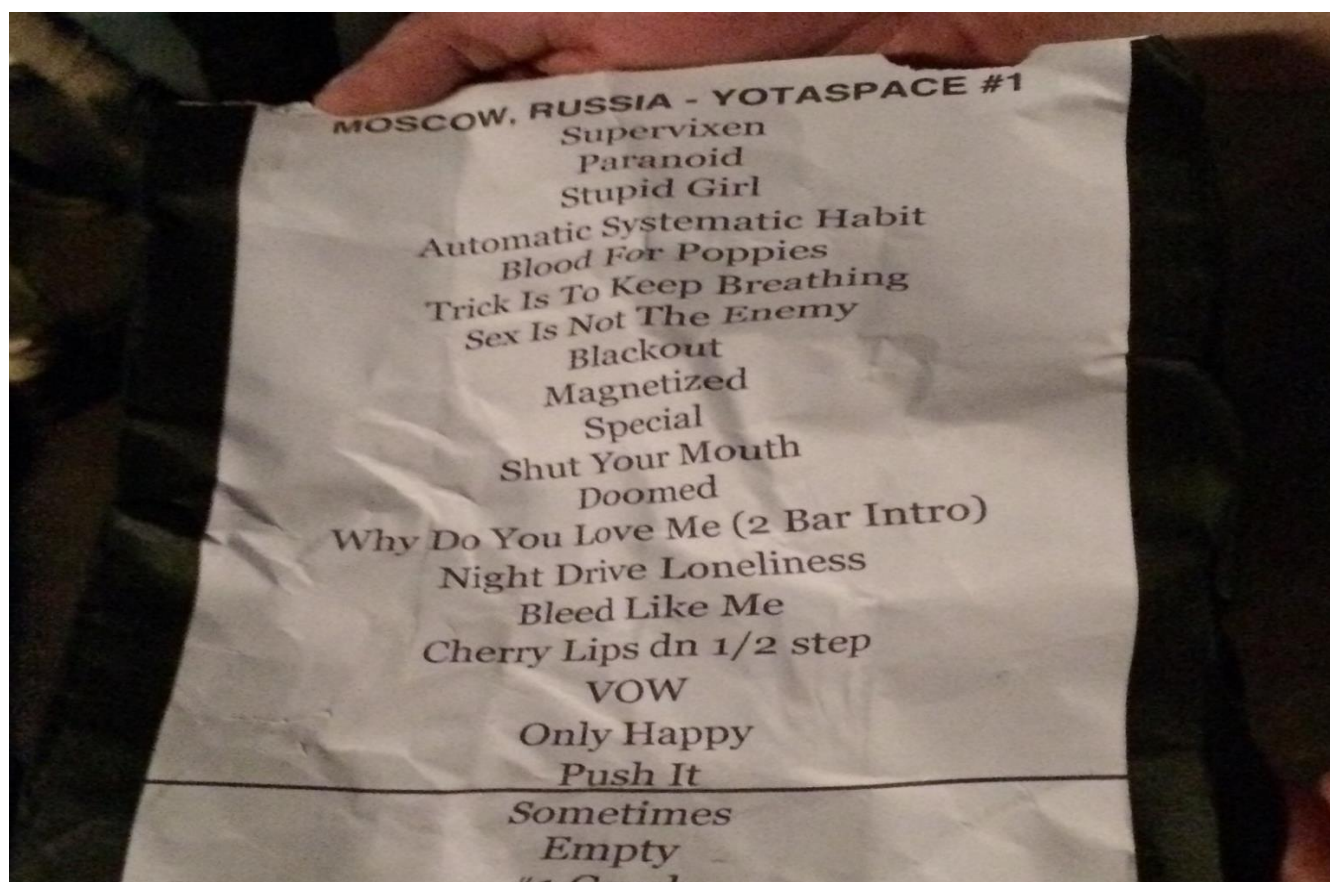
na kamieniu, a tymczasem nas skakało może ze dwadzieścia osób. Trochę zwiędłem. Następne poleciało *Stupid Girl* i tu już Shirley tak zaczęła bardzo śmiało sugerować, krzycząc „Let's go boys!”, machając rękami i robiąc rundkę po scenie. Takie nieśmiałe sugestie, że może ktoś łaskawie by jednak wyraził swoje zainteresowanie tym, że sobie podnosi cycki na „Push up my bra like that” i ogólnie żyje tą piosenką, chociaż słucha jej na koncertach raczej częściej niż zebrani w klubie. A tu takiego, dalej spokój jak w operze.

Podłamało mi to skrzydła: człowiek przychodzi na taki koncert, żeby sobie poskakać, pokrzyczeć, pobawić się. Idzie w tym celu pod scenę, żeby nie przeszkadzać tym, którzy nie przepadają, jak się na nich wpada. Tymczasem okazuje się, że przeważająca większość zebranych albo nie wie na co przyszła, albo przeżywa każdy wers tak duchowo, że im to odbiera władzę w rękach, nogach i mięśniach szyjnych. Jeżeli trójca *Supervixen*, *Paranoid*, *Stupid Girl* nie poderwała ludzi, to co mogło? Nie kolejne *Automatic Systematic Habit*, nie *Blood For Poppies*, a także nie *Trick Is To Keep Breathing*. Już właściwie się załamałem całkowicie, ale po tym Shirley przemówiła, że LGBT i że to dla nich piosenka. Zagrali *Sex is Not the Enemy* i to był pierwszy moment wieczoru, że na publice pojawiły się jakieś reakcje. I tak nieadekwatne do poziomu odpału, jaki ma ten utwór, ale przynajmniej w końcu nie miałem poczucia bycia na pogrzebie, i to takim kameralnym, a nie Stalina. Miło też pokrzyczeć sobie „A revolution is the solution” niemal w 99. rocznicę rewolucji październikowej.

Dopiero jako siódme poleciał pierwszy kawałek z nowej płyty, *Blackout*. Jak utwór ten jest bardzo dobry z płyty, to niestety na żywo ilość warstw i podkładów zabiła się nawzajem, w efekcie wyszedł lekki chaos. *Magnetized* i *Special* przeszły sobie spokojnie i dopiero *Shut Your Mouth* przyniosło ożywienie sytuacji, zapewne dzięki temu, że refren trudny do skandowania nie jest. Szczęśliwie nie grali tego tak na sucho, Shirley rozgadywała się między utworami, wspominała o prostej prawdzie, że każdy ma prawo do własnego szczęścia, w co wlicza się orientacja seksualna, że media oglupiają, promują odrealniony kult piękna i tworzą celebrytów. Że świat ma przesrane, ale pozostaje wierzyć, że kiedyś będzie lepiej. Najbardziej wzruszyła mnie, gdy podziękowała wszystkim za zainwestowanie swoich pieniędzy w bilet na koncert i opowiedziała, że wie, że drogo i że są bardzo wdzięczni, a zespół się na to uklonił. Chyba pierwszy raz ktoś był łaskaw tak miło przemówić i zauważyć, że nie wszyscy śpią na pieniądzach i że to jednak jest jakiś wydatek. Wspomniała też o dziennikarce z Chile, która podczas wywiadu wyraziła powątpiewanie w ich możliwości i jak bardzo chciała jej kazać wypierdalać. Dziękowała wszystkim za wieloletnie wsparcie i stwierdziła, że jesteśmy dziwni, że ich kochamy. To był wstęp do *Why do you love me?*

Okazało się, że jak Shirley pogada i da intro, to ludziom się chce nieco bardziej, co po wcześniejszej katastrofie było dość budujące. Shirley mówiła też o specjalnej więzi, jaką odczuwa z ludźmi z Rosji, bo mieszkają na tej samej długości geograficznej co ona w Szkocji kiedyś, a potem w USA. Rzeczywiście, czy w Rosji, czy w Szkocji, czy w USA ludzie mają przesrane, chociaż jednak tu mają jeszcze nieco biedniej niż bardziej na zachód. Poszło to już do końca mniej więcej tym schematem – te bardziej energetyczne kawałki trochę ludzi niosły, „wszystkich” poderwało *Cherry Lips*, nawet bardziej niż wyczekiwany przeze mnie szczególnie *Push It* (po tym mogłem sobie skreślić z listy muzycznych marzeń jeszcze jedno).

Utwory z nowej płyty raczej się rozkładały pod wpływem zbyt dużej ilości elektroniki, ewentualnie traciły dość dużo wobec wersji płytowych. Jeżeli Garbage pogra kolejne kilka lat, to wróżę, że wiele ze *Strange Little Birds* się nie utrzyma na setlistach. Trochę szkoda, bo to solidna robota, tylko przy tym, jak oni grają na żywo, to nie brzmią. Mimo to trudno było nie mieć ubawu przy takim *Empty*. Przed *Night Drive Loneliness* Shirley opowiedziała, jak to byli w Nowosybirsku i dziewczyna po koncercie dała jej list, który był wspaniale napisany i opowiadał o tym, że rozstała się z chłopem i że wszystkie miejsca w mieście są dla niej traumatyczne, bo przypominają o nim. Ciekawe, czy mówi tak w każdym kraju, czy też to było naprawdę. *Only Happy When It Rains* zaczęło się akustycznie, żeby potem gruchnąć już po bożemu. Trochę szkoda, że nie zmienili „rains” na „snows” z racji tego, jakie zjawisko atmosferyczne ostatnio nas tu uszczęśliwia. Na bisy poszło *Sometimes* (patrz: problem z nadmiarem elektroniki), *Empty* i *#1 Crush*. Ten *#1 Crush* nie do końca był najfajniejszym kawałkiem koncertu, już nie mówiąc o tym, że większość stała obojętna, to nie brzmiał, jak powinien. Szkoda, że nie skończyli jakimś zamaszystym kopem w krocze słuchających, np. *Queer* albo *Metal Heart* (no oczywiście można marzyć o *The Butterfly Collector* czy *Lick the Pavement*, ale to już tylko marzenia, nic z tego nie grają na tej trasie). Fajnie też, jak z bisu się wychodzi zachrypniętym i w mokrych gaciach (z wrażeń lub od potu), a tu niestety nie było na to szans. Moskwa, listopad, zimno było, więc może ludzie bali się, że dostaną zapalenia płuc i woleli się oszczędzać. Ku memu zdziwieniu ochrona regulowała ruch do szatni, ale po jakichś 10 minutach udało się odzyskać palto i plecak.



Setlista należąca do samej (baczność) Shirley (spocznij)



Idąc na koncert, najbardziej bałem się, że okaże się, że zespół jest w żalosnej formie, że będzie widać po nich, że robią to tylko dla kopiejki, że nie będzie w tym żadnej pasji. W końcu ile można grać swoje największe hity z ekstazą? Wychodzi, że ponad dwadzieścia lat.

Shirley niedawno obchodziła pięćdziesiąte urodziny, pozostali członkowie zespołu są jeszcze starsi. Szczęśliwie, wszystkim się chciało, wszyscy grali, jakby ich życie zależało od tego, gibali się na scenie, łazili, nawiązywali kontakt z zebranymi. Shirley to osobna kategoria, koncertowa rewelacja, patrzcie na te kocie ruchy, trzymająca kontakt z publiką, gadająca na temat, z milionem pomysłów na ruch sceniczny, fruująca z prawej do lewej, podjudzająca ludzi, żeby się obudzili. Zobaczenie jej w końcu na żywo było przyjemnością, która chyba nawet przerosła moje oczekiwania. Czasem śpiewa sobie trochę inaczej niż na płytach, zapewne dlatego, że mogłoby inaczej jej nie pójść. Gdyby ktoś nie wiedział, to mógłby pomyśleć, że ona nie ma jeszcze trzydziestu lat.



Napiszę dopiero po raz jakiś dwudziesty: publika. Może ja się starzeję szybciej, niż metryka mówi, ale stojąc w jakimś piątym rzędzie nierzadko miałem przed sobą ze trzy telefony. Rekordami nonsensu było wrzucanie filmów na bieżąco na VKontakte lub Fejsa. W pewnym momencie, gdy Shirley mówiła, dziewczynka koło mnie sprawdzała, czy jej się dobrze nagrało. Potem sprawdzała komentarze znajomych. Chuja mnie to interesowało, ale przecież jak ktoś obok świeci telefonem, to nieco tym dekoncentruje. Niby dzięki temu można cały ten koncert oglądać na Youtubie, ale akurat nagrywający stał sobie z boku. Mamy rok 2016, wszystko jest

w necie, znajdzie się pewnie i sodomitę z jenotem, jak się dobrze poszuka. Tym bardziej [znajdzie się Garbage grające koncert](#). Nie wiem, na co mi czterdzieści ujęć jednego kawałka, zwłaszcza, że większość z nich jest do dupy i wiele nie słyhać.

Rozumiem nagrywać profesjonalnie, rozumiem nagrać sobie jakiś ulubiony kawałek, ale tego wieczoru więcej osób było zainteresowanych zachowaniem koncertu w pamięciach telefonu i na portalach społecznościowych dla potomnych niż rzeczywiście ubawieniem się na nim. Jeszcze jakiś kutas przyniósł selfie *pałoczkę*, jak tu się mawia na selfie sticka. Może to też kwestia, że wcale niemało osób mogło jeszcze być w jajach u taty, gdy Garbage zaczynało nagrywać. Dla nich zapewne *Supervixen* nie było podkładem do chłania z dziewczynkami w młodości, a przy *I Think I'm Paranoid* nie pilowali ryja na karaoke w patologicznych knajpach rockowych. Z drugiej strony, to jest to nadal to samo *Supervixen* i dalej ma takiego kopa jak dwadzieścia lat temu.

Z cyklu trochu śmieszne, trochu straszne: perkusistą Garbage jest Butch Vig, facet znany z tego, że wyprodukował *Nevermind* Nirvany. Butch urodził się w roku 1955 i nie gra na tej trasie, bo ma kłopoty zdrowotne. Za niego gra Matt Walker, który nie wyprodukował *Nevermind* Nirvany. Ktoś jednak nie ustalił tego drobiazgu i próbował podać zespołowi egzemplarz winyla *Nevermind*, żeby dostać na nim autograf. „Nie pauczyłoś”, jak mawiają Rosjanie, ale przynajmniej nie skomentowali tego ze sceny.

Mimo tego, co wmawiają nam od lat, sprzedaż płyt nie jest takim wielkim finansowym dzwonem dla zespołów. Znacznie więcej zarabiają na okołokoncertowym handlu perkalem i paciorkami, bo omijają w ten sposób pośredników. Wiele lat temu podpisałem wewnętrzną umowę, że kupuję te rzeczy, nierzadko przepłacając dość srogo, bo przynajmniej zespół zobaczy ten hajs, a nie jakieś korpo bydlę, co wysyła te płyty do Walmartów świata. Zdziwiłem się, widząc koszulki za jedyne 1500 rubli. Nie, że w Aszanie jest taniej ze cztery razy, ale jak na koncert, to nie było wiele. W imię wewnętrznego paktu o wspieraniu sztuki, to mimo, że nie były powalające, wziąłem, niech mają, *Strange Little Birds* nie sprzedawało się za szalowo. Aż zdziwiłem się, że sama płyta była za jedyne 500 rubli. Później stwierdziłem, że metka głosi, że uszyto to w Rosji. Mam nadzieję, że jednak zespół zobaczył trochę z tej kopiejki, a nie, że na koncercie ktoś sprzedawał rzeczy nieco mniej oryginalne. Jeżeli sprzedawali pirata płyty na koncercie, to o kurwa, Rosja to wyjątkowy stan, ale nie umysłu, a patologii praw autorskich.

Pocieszającym i pociesznym akcentem wieczoru był totalnie pijany chłop, który śpiewał z kolegą *Empty* przy metrze. Pobliski sklep spożywczy (ceny wszystkiego w Yotaspacie są raczej srogie – piwo 330 rubli, hamburger 300, woda 150) stał się obiektem inwazji wracających z koncertu. I co też ludzie rzucili się kupować? Oczywiście napoje, ale na drugim miejscu były lody. Nie pojmę nigdy tej rosyjskiej pasji do jedzenia lodów w środku zimy. Rock, sex, woda, prochy i lody waniliowe. Jedyne, co ich usprawiedliwia, to że było po 23 i alkoholu nie dało się już kupić.



*Tak wygląda radość*



## Muzyka martwej rosyjskiej duszy

[4.12.2016]

Był kiedyś taki wieczór, że wróciłem do domu i zobaczyłem, że Aligator zostawił mi linka na Skypie. Że ruska grupa topowa obecnie. [Włączyłem](#). Po jakiejś minucie byłem kupiony. Obadanie reszty dokonań zespołu nie pozostawiało złudzeń. Pierwszy raz od naprawdę chwili pojawiło się coś ciekawego, wykraczającego poza standardowe ramy grania muzyki. Ludzie piszą, że Little Big to rosyjskie Die Antwoord. Ano tak to brzmi, ale patrząc na nich ideologicznie, to jest jak w dupę strzelił Laibach. Rosjanie uwielbiają opowiadać o tym, że świat posługuje się stereotypami, postrzegając ich kraj. W końcu ktoś się tym zajął na całego i to z jakim rezultatem! Właściwie to dziwne, że Rosji tyle zajęło doczekanie się takiego zjawiska, toż przecież ten kraj aż się prosi o adekwatny komentarz muzyczno-wizualny. I to nie Okudźawę ani Leningrad, tylko coś dającego tak intrygujące połączenie strony wizualnej z dźwiękową, a do tego jeszcze jakąś intelektualną. Po obejrzeniu paru innych zacząłem się zastanawiać, czy ten zespół jest tu w ogóle legalny. Szybkie przeszukanie zasobów netu pozwoliło ustalić, że tak i że nawet grywają koncerty. Moskiewski wypadał 19 listopada. Jak o jakiejś godzinie 21 odkryłem ich istnienie, tak koło 23 pisałem do znajomych, że „Idziemy!!! Patrzcie, jakie jaja!!!”.

Kilka dni później mieliśmy bilety. Zdobycie ich nie było proste, bo system dystrybucji biletów przypomina nieco ten z czasów poprzedniego systemu. Organizator koncertu, Yotaspase, miało je po 1600 rubli. W klubie bilety wyprzedano, za to były one dostępne na necie, niestety obciążone dość solidną opłatą serwisową. Taką, że zamiast 1600 wychodziło jakieś 2000 rubli. W końcu nasza koleżanka zdobyła je gdzieś z narzutem trochę mniejszym, bo po jedyne 1800 rubli, czyli jakieś 115 PLN. Gdy Little Big grało w Krakowie, to wstęp był po 40 PLN. Niebezpiecznie Moskwa chlubi się byciem bardzo drogą stolicą bardzo biednego kraju i za niemal wszystkie koncerty płaci się tu więcej niż nie tu. Jeszcze w tym wszystkim wspomnę, że 17 listopada miałem Garbage, a już 19 Little Big. Albo pół roku nie ma nic, albo dwa w ciągu dwóch dni.

Kolejka wejściowa do Yotaspase przerażała. Przyszliśmy koło 19, sam koncert miał zacząć się o 20, w co nie wierzył nikt. Na godzinę przed oficjalnym startem gigu staliśmy jakieś 300 metrów od wejścia, a ogonek ciągnął się jeszcze dobre kilkadziesiąt metrów za nami. Pogoda w listopadzie w tej strefie klimatycznej jest wiadoma. Akurat padał deszcz, a nie śnieg, więc było zimno, mokro i koszmarnie chujowo. Poznajdywaliśmy się ze znajomymi, coś tam zjedliśmy na szybko systemem rotacyjnym stania w kolejce – akurat w tę sobotę mieliśmy robotę i przyszliśmy prosto z niej, chwyciliśmy jakieś piwo dla zabicia czasu i czekaliśmy. Chłopcy przed nami zdrowo sobie siupnęli, no chyba że obecnie to takie modne, żeby nosić okulary przeciwsłoneczne w absolutnej ciemności, a przy tym nieco bełkotać. Piła właściwie cała kolejka zebranych, a wzdłuż niej przechadzali się cwaniacy z klubu, którzy chcieli sobie dorobić i oferowali nam za opłatą wejście poza kolejnością. Nie skusiliśmy się, mimo tego, że mówili, że nie zdążymy przed 20 i przepadnie nam kawał koncertu. Poczynilem sobie tylko kilka mentalnych notatek dotyczących jakości obsługi klienta w tym kraju. Co z tego, że płacisz jakieś trzy razy lepiej niż w UE, i tak będzie gorzej, bo Rosjanie nie mają nawyku walki z patologiczną korupcją. Był to też pierwszy rozdział opowieści o organizacji.

W końcu udało nam się wejść, na bramkach panował totalny burdel, odcinek drugi. Taki, że gdy przechodziłem przez nie, to na stole leżało kilka portfeli, telefonów, zegarków i zestawów kluczy, a potem wspólnie z czterema innymi osobami wybieraliśmy z tego nasze rzeczy. Chwała, że wszyscy okazali się uczciwi, ale jakby ktoś chciał sobie pokraść, to łatwiej niż dziecku cukierka. Przecież to takie dziwne, że w roku 2016 ludzie mają przy sobie telefony, klucze, bilon i może nawet zegarek.

Jeszcze nie dotarliśmy do szatni, a już było widać, że jest gęsto. Dwa dni wcześniej na Garbage w szatni były pustki, w sobotni wieczór trzeba było powalczyć, żeby zostawić bety. To też nie było takie proste, pani poinformowała mnie, że mój plecak jest zbyt pusty, żeby szatnia mogła go przyjąć. Automatycznie mi się odpowiedziało:

– *Co to za pojebana bzdura?*

Okazało się, że podobno mają przepis, że plecak musi być wyładowany, ale jeżeli wrócę po rozpoczęciu koncertu, to może wtedy przyjmie. Odmieniłem kurwy przez chuje, zebrałem rzeczy Aligatora i wypakowałem w ten sposób plecak. Po tym idiotycznym akcie pani udało się go przyjąć. W kolejce do łazienki dopisałem sobie kolejny rozdział do opowieści o rosyjskiej organizacji, kapitalizmie, jakości obsługi i klubach.

Stwierdziłszy, że czujemy się jak w pracy: niemal wszyscy młodszy od nas i się wydzierają. No nie że spodziewaliśmy się konwentu seniora i bohaterów wojny ojczyźnianej, ale wielu zebranych nie miało chyba nawet osiemnastu lat. Parę osób haftowało po toaletach, w sposób typowy dla tych, którzy odkrywają sekrety alkoholu. Rosjanie i Rosjanki zazwyczaj nabywają tę zdolność przed czternastym rokiem życia. Niby na biletach było 16+, ale eta Rosja, na pewno nie sprawdzono papierów – i chwała niebiosom, bo ten katastrofalny organizacyjny burdel urósłby do jeszcze większych rozmiarów.

Koło jakiegś 20 widzieliśmy już bardzo dobrze, że klub jest więcej niż pełen. Wiedzieliśmy też, że za nami było wcale niemało osób, więc pytaniem otwartym pozostawało, ile ludu postanowiono wpuścić. Pisali już na kilka dni przed koncertem, że wyprzedany, pytaniem pozostawało, jak definiowany jest zdrowy rozsądek i ile osób upchną. Widać było, że definiowany nie jest w ogóle i że wpuszczą tak, że będzie się wysypywało lufcikami.

Bilet nie wspominał o tym, że przed Little Big gra support. W efekcie, gdy zespół The Hatters wyszedł na scenę, wcale niemało osób było pewnych, że to główne danie wieczoru. Już wizualnie robili dobre wrażenie – ogromna elektryczna bałajka, dwie dziewczyny w zwiewnych słowiańskich strojach, brzuchaty i brodaty chłop w podkoszulku na ramiączkach. Zespół należy do rodziny Little Big i gra plus minus to samo, chociaż z mniejszym przypierdołem i mniejszą ilością słów powszechnie uznawanych za obraźliwe. Jako support dawali radę, po kilkunastu minutach ludzi wynosili, inni mdleli, rozwał na publice totalny. Gdy w pewnym momencie wokalista powiedział, że zagra piosenkę, którą napisał wieczór wcześniej i rzucili *Everyday I'm drinking*, to jazda rozkręciła się taka, że pytaniem otwartym stało się, czy Little Big nie zostanie pokonane przez własny support. The Hatters zagrali jakieś 40 minut. W tym czasie:

- Dość dobrze się ubawiłem.
- Wszyscy się pogubiliśmy.
- Odbyłem trasę od tylnego baru do sceny, bo taki był ruch na publice, że chcąc nie chcąc

człowieka przenosiło.

- Brodaty brzuchacz na scenie podarł na sobie koszulkę.
- Warstwa wizualna nie powaliła, ale coś tam się błyskało.
- Statystycznie wydawało się, że liczba ludzi pod wpływem substancji psychoaktywnych nakrywa czapkami tych na czysto.
- Niestety, my byliśmy na czysto.
- Parkiet sprawił, że wspomniałem sobie najlepsze lata młodości. Było to takie pierdolnięcie, że klepki podłogowe i sufitowe spadały. Ludzie się miotali, rzucali, skakali, upadali, podnosili, piłowali ryje. Totalny obłęd w najlepszym wydaniu.

Mimo dość pozytywnego wrażenia jakie na mnie zrobili, to raczej nie wróżę The Hatters wielkiej kariery międzynarodowej, są za blisko Little Big, które świata póki co nie podbiło (obawiam się też, że nie podbije). Jednak jako support The Hatters sprawili się cudownie.

Rozpoczęło się oczekiwanie na główną gwiazdę wieczoru. Po kilkunastu minutach zaczęło mnie to wkurwiać. Klub nabity pod sufit. Ruszyć się nie da, scena gotowa, a ci gwiazdorzą. Grajcie do nędzy ciężkiej!

Koło 21:50 zaczęli grać. Najpierw nieco niemrawo, ale już jako drugie rzucili *We will push the button*. Na publice rzeźnia. A to było dopiero preludium. Po kilku kawałkach wyszedł Klaun (czyli Anton Lisow), który rzucił jakieś zdawkowe pozdrowienia i impreza ruszyła na całego. W tym czasie Ilya mógł sobie odpocząć. Najprościej sprawy oddając: sobie grali, a zebrani się cieszyli. Ponieważ się nie oszczędzali, mieli system rotacyjny i co kilka kawałków zmieniał się głównodowodzący. Część żeńska w postaci Olympii (to ta nie bardzo wysoka pani) i Sofii (w koszulce z napisem „SISKI” czyli CYCKI na biuście, tak na wszelki wypadek, żeby nikt nie przegapił, jakby to było możliwe) była cały czas obecna i się gibała.

W wypadku tego koncertu trudno mówić z jakąś powagą i przejęciem o setliście; grupa ma na koncie dwie płyty, zagrała je w niemal całości, na koniec zostawiając swój wielki hit *Big Dick*, a cały koncert zakończyło *Polyushko Pole*. Też pod koniec poszło *Everyday I'm drinking*, przed którym zadano pytanie:

- *Lubicie się najebać?*
- *Daaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa.*
- *A chlejecie codziennie?*
- *Daaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa.*

Wiadomo, co dalej.

Leciały poza tym *From Love with Russia*, *Fucking Asshole*, *Give me your Money*, *Public Enemy*, *Dead Unicorn*, *Brighton Beach*, *Life in the trash*, *Funeral Rave*, *Russian Hooligans* (tu paru osobom odważyło już daleko poza granice ubawu i niemal się bili), parę jakichś rzeczy, których rozpoznać się nie udało, ale naprawdę, nie miało to znaczenia, przy tym stylu grania i podniety publiki mogli nam śpiewać i prawo handlowe Federacji Rosyjskiej. Od pierwszej sekundy koncertu na publice panowała dzika pompa, wszystko niemal skakało, darło się i wpadało na siebie. Parę osób wydawało się mniej zachwyconych tym faktem, bo nie było możliwości, żeby stać jakoś bliżej sceny i nie zostać zabitym. Już po kilku kawałkach mniej zaprawieni w bojach przenieśli się na tyły, gdzie w sumie też za spokojnie nie było. Albo zespół puszcza parę osób na publikę, które tym kręcą, albo ludzie tu są bardziej odpowiedzialni niż



gdzie indziej – w każdym większym kółeczku było ze dwóch wodzirejów, którzy dawali znaki – sygnały, co robić, kiedy się uspokoić, a kiedy się rzucać. Jeden z częściej przeze mnie widzianych miał wybite przednie zęby, w tej sytuacji wystarczało to za najlepsze referencje.

Sam zespół też wiedział, co robić: wszystko skakało, gibało się, darło, machało łapami. Apogeum tego miało miejsce przy *Everyday*, gdy na scenę wskoczył cały zespół The Hatters, pili wódkę i tańczyli kazaczoka, a na koniec jeden podarł na sobie ciuchy. Zabrakło chyba tylko kokoszników, bo część żeńska była w strojach sportowych. Łącząc to z tym, że klub był nabitą ponad swoje możliwości i poza granice zdrowego rozsądku, można było sobie w tę nieco ponad godzinę koncertu odrobić kilka przegapionych zajęć z fitnessu. Były też wizualizacje, niestety średnio wzruszające zarówno na płaszczyźnie technologicznej, jak i ideologicznej. Jakies obrazki z klipów, środkowy palec na *Fucking Asshole* migoczący fiut przy *Big Dick*, no nic, co by było czymś więcej niż tło do ubawu.

Przy tym wszystkim, największy atut koncertu był też jego największą słabością: naprawdę mogli zagrać cokolwiek, a ludzie by się dalej mordowali. Nie, że mają w repertuarze ballady, przy których można się rozrzewniać i przytulać partnerki, ale też po dwudziestu minutach stało się jasne, że liczba niespodzianek na cały wieczór została wyczerpana. Dwa dni wcześniej na Garbage narzekałem na marazm zebranych. Tu wahadło poszło solidnie w drugą stronę i wyjechało poza skalę. Mimo wszystko miło było pokrzyczeć sobie *WELCOME TO RUSSIA!* niemal w centrum Moskwy. A także posnuć grupowo dywagacje o przyrodzeniu Ilii.

Osobną opowieścią była organizacja: takiego dramatu nie widziałem od chyba Openera w 2010 roku, tyle że tam mieli kilkadziesiąt tysięcy osób. Już po koncercie ochroniarze próbowali kierować ruchem do szatni, ale ich największym sukcesem było wkurwienie wszystkich. Zapewne puszczenie ludzi na żywioł byłoby lepsze. Udało nam się odnaleźć naszą małą grupkę i poczekaliśmy sobie jakieś 40 minut na nasze rzeczy, przeklinając przy tym rosyjski kapitalizm, w którym do klubu z jednymi wąskimi schodami można wpuścić tyle osób. Poczyniliśmy mentalne notatki: do Yotaspacy chodzić tylko na rzeczy mało popularne, albo jak zaproszą coś, co warto będzie męczenia się w tak koszmarnym burdelu. Do tego ceny: mała woda 150 rubli, piwo Tuborg 350 (23 PLN!!!). Niby miało być afterparty i miał na nim grać Lisow, ale nie sądzę, że ktoś na nim został. Jeżeli w Yotaspacy się dziwili, to informuję, że może gdybyście dali jakieś rozsądniejsze ceny napojów, to ludziom by się chciało zobaczyć, co będzie, a tak wszyscy uciekali do domów lub innych klubów.

Gdy wyszliśmy wręczono nam ulotkę, że 23 marca odbędzie się kolejny koncert Little Big. Myślę, że jedno spotkanie nam wystarczy. Było miło, ale nie mam złudzeń, że mogą mnie jeszcze czymś zaskoczyć na żywo. Obawiam się też, że formuła zespołu może się wypalić – ile jest tych ruskich stereotypów i na ile sposobów można je wyśmiać? Również koncertowo, rzeźnia jest fajna przez jakiś czas, potem staje się monotonna. Póki co zespół jednak ma tendencję zyskiwania popularności, znają go nawet niektórzy nasi uczniowie. Bardzo się dziwię, że my też – wydaje im się, że jest to tak [rosyjskie zjawisko, że aż niedostępne dla percepcji obcokrajowców](#). Będą dziwili się jeszcze bardziej, gdy dowiedzą się, że widzieliśmy to zjawisko na koncercie. Może nawet będą nam zazdrościli.

Przysięgam, jak żyję nie widziałem takiej kreatywności w kręceniu klipów. Jest więcej! Do tego dochodzą materiały z koncertów – występy skrupulatnie kamerują. Przy tym wszystkim, to raczej nie ma milionowych budżetów, ma za to [hektary rewelacyjnych pomysłów](#).

[7.03.2017]

Pewnego grudniowego popołudnia zobaczyłem uliczną reklamę koncertu DDT. Na ten widok dokonałem takiej akrobatyki myślowej: „A, jak nie zapomnę, to zobaczę, po ile bilety. Chyba mieli kiedyś jakąś niezgorszą piosenkę, poza tym tyle już tu mieszkamy, a to klasyk narodowy, to może by się dało przejść”.

Bilety okazały się być od 700 rubli. „Jakieś 40 PLN, to można jeszcze zaryzykować” – pomyślałem, posłuchałem sobie najpopularniejszych piosenek i stwierdziliśmy wspólnie, że można się przejść. Poza tym początek marca, co tu będzie ciekawszego do roboty? A akurat niedziela, to przynajmniej nas pracą nie będą mogli skatować.

W jakieś dwa tygodnie później przesyłałem już niektóre utwory DDT współpracownikom z krajów mniejszych od Rosji i mówiłem, że chyba będzie warto. Przekonałem łącznie trzy osoby. Przy okazji musiałem wyjaśniać współpracownikom z największego kraju świata, że nie oszalałem i że mi się to naprawdę podoba. Jak również, że w Polsce DDT nie jest przesadnie popularne. To pewne dyplomatyczne niedopowiedzenie: w życiu nie słyszałem ich piosenki w radiu, lokalu czy gdziekolwiek. Zagrali do tej pory jeden koncert w Warszawie, w 2010, co jest o tyle dziwne, że znacznie więcej grywali w USA, Niemczech, UK, czy nawet w Izraelu. A w Polsce podobno było bez niespodzianek: pustawo, drogo, więcej Rosjan niż Polaków.

Im bliżej było 5 marca, tym bardziej żałowałem, że nie zaopatrzyłem się w jakieś bilety lepszej kategorii. Wchodziło mi więcej i więcej kawałków. Gdy poznawałem grupę w 2003 roku, to mnie nudziła i wszystko mi się zlewało, do tego wydawało wtórne i szybko przerzuciłem się na inne materiały pomocnicze do nauki języka rosyjskiego (zwane Leningradem, a nawet Grupą Leningrad). W 2016 był to już inny temat, usłyszałem w tym wcale niezłą różnorodność (zwłaszcza, gdy wejdzie się na nowsze płyty), a do tego nawet byłem w stanie zrozumieć dość dużo z tego, co tam Szewczuk śpiewa.

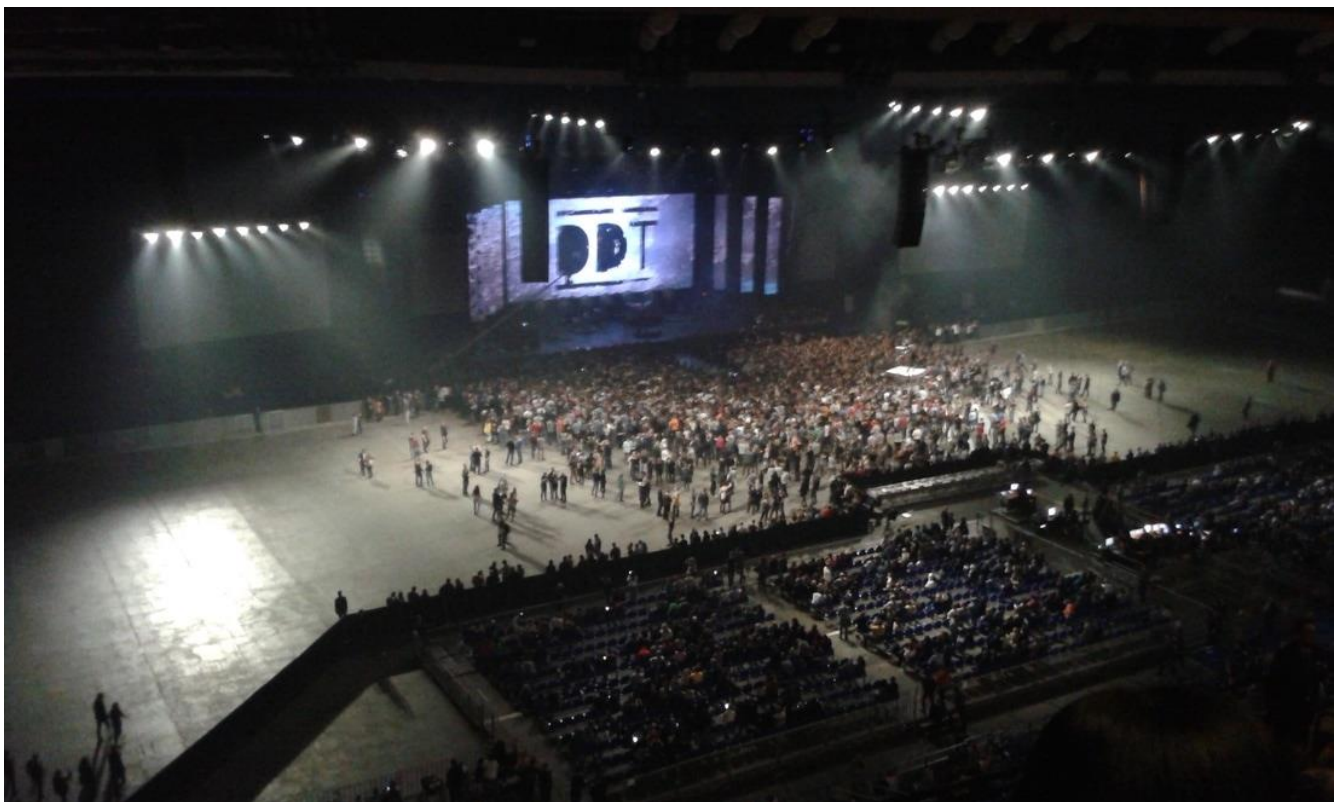
5 marca to taki magiczny dzień, że wypada w niego rocznica śmierci Stalina (– *Czy to prawda, że Stalin umarł w dzień wielkiego święta? Tak. – A jakie to było święto? – Dzień śmierci Stalina.*). Mimo to nie spodziewałem się jakichkolwiek nawiązań do życia ojca narodów, chociaż zabawnie się historia świata, a zwłaszcza tego kraju, układa – 60 lat temu wielka żałoba, a w 2017 mała akcja „Dwa goździki dla towarzysza Stalina”. Za to stada ludzi gnały w podniosłych nastrojach na stadion Olimpijski, jeden z większych i bardziej prestiżowych obiektów w Moskwie – dzięki temu, jakie ma rozmiary, to bilety na koncerty tamże są często tańsze niż w innych miejscach. Wieczór wcześniej sprawdziłem, koncert był praktycznie wyprzedany, zostały tylko obłędnie drogie bilety na najlepsze sektory, a i ich nie było za wiele. Pojemność Olimpijskiego to podobno 35 tysięcy ludzi, w co nieco ciężko mi było uwierzyć – jest to ogromne, ale chyba jednak nie aż tak. Tego wieczoru wypełniony był po brzegi, tylko wejście zajęło skromne 45 minut. Za to ochrona była obłędnie miła: nie odbierała wody i nie przeszukiwała ludzi, tylko w miarę szybko wpuszczała. Ilość zatrudnionych szatniarzy imponowała, były stanowiska z numerkami od 0 aż do ponad 25 tysięcy! Nigdzie kolejek, pełno stoisk z napojami (woda po 100, drogawo, ale jeszcze nie skandal). Bilety sprawdzała UŚMIECHNIĘTA bileterka – czy oni podawali ludziom psychotropy, czy też sprowadzili ich

spoza Rosji? Jednak kolejka za nami ciągnęła się po horyzont.



*Obok Olimpijskiego jest główny meczet Moskwy, największy w kraju niemuzułmańskim. To ten otwierał Wołodia z Erdoganem, jak jeszcze trzymali sztamę. Przynajmniej się milej czeka w takiej okolicy*





*To ma być koncertowy tłum? Toż w osiedlowym monopolowym bywają większe kolejki, jak rzucają piwo na promocję!*

Chwilę po 19 zasiedliśmy na naszych prestiżowych miejscach i z pewnym niedowierzaniem skonstatowałem, że nie jest źle, widać było dość dobrze, więc pozostawała nadzieja, że jeżeli nie zrąbią nagłośnienia, to może to być jeden z lepszych koncertowych interesów mego życia. Wydawało się, że jest dość pusto, ale miałem w głowie te epickie kolejki wokół stadionu, można było je podziwiać na bieżąco, chodząc po schodach do toalety (na naszym poziomie takiego luksusu nie było). Z drugiej strony, 45 minuts to nie jest jeszcze bardzo długo, zazwyczaj zakładam, że wejście na koncert zajmie mi jakąś godzinę. Siedzieliśmy więc, podziwialiśmy wyświetlone logo zespołu i czekaliśmy, co dobrego wieczór przyniesie. Koło 19:35 przyniósł Szewczuka, który ubrany w jeansy i czarną bluzę wlaź na scenę i powiedział:

*– Muzycy od dawna gotowi, wy gotowi, a na zewnątrz stoi kilka tysięcy ludzi. Chcecie jeszcze czekać?*

*– Neeeeeeeeeeeeeeeeet!*

No więc zaczęli grać. Najpierw spokojnie, intro, przy którym na wizualce przewinęła się cała Ziemia. Tournée zwie się *Histora dźwięku* – jak się ma zespół, który ma 37 lat i solidną ilość płyt na koncie, to można sobie takie grać. Więc jak dość hałaśliwe intro przeszło, to Jurij Julianowicz zapytał:

*– Kto się urodził w ZSRR?*

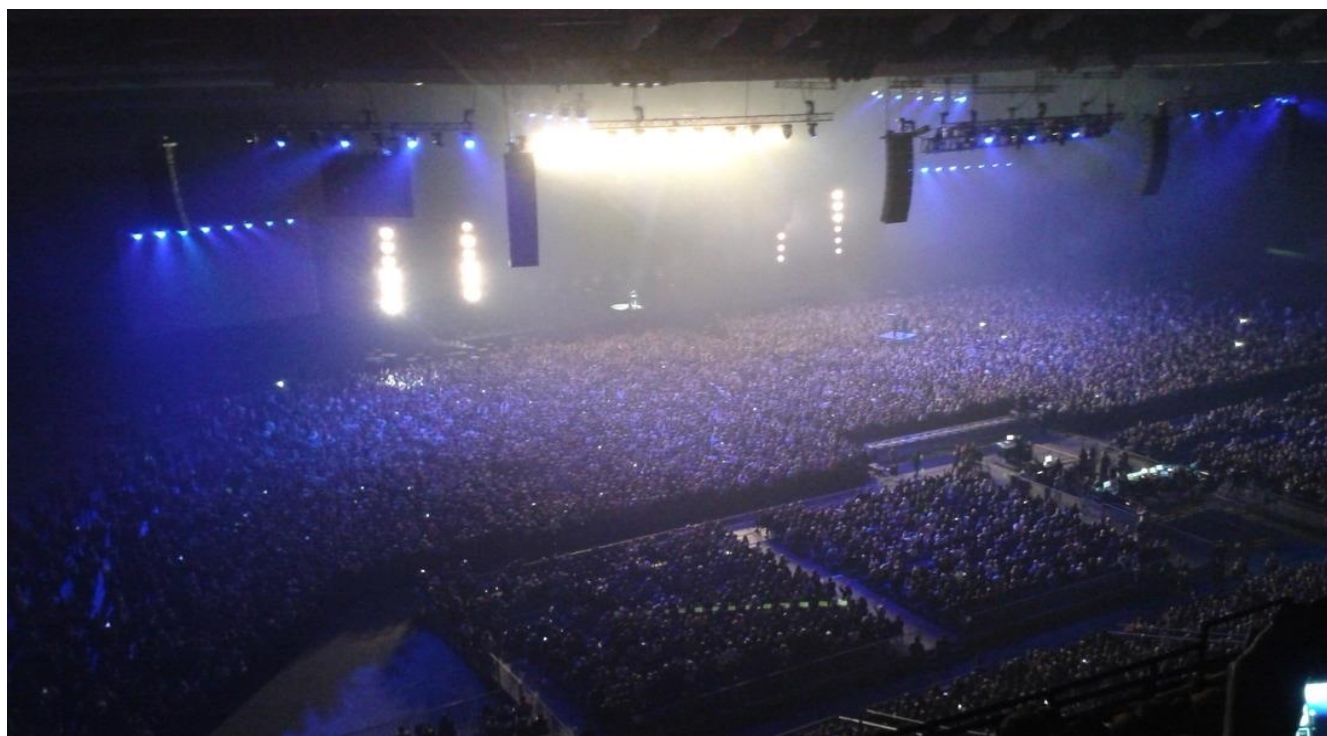
Parę osób z zebranych się urodziło.

*– I jacy fajni ludzie się udali!* – powiedział tytułem wstępu do *Рождённый в СССР*. W odróżnieniu od wersji płytowej, tu nieco sprawę wyciszyli, tak trochę to wyglądało, jakby się

nie chcieli zmachać, chociaż im bliżej końca utworu, tym więcej radości. Publika brzmiała świetnie, ludzie śpiewali nie tylko refreny, a wiele osób piłowało cały kawałek. Na wizualkach zdjęcia zespołu z tamtych lat i tego, co też się wtedy działo, chociaż zapalała się jakaś demonstracja, na której policja związała faceta w antyputinowskiej koszulce.

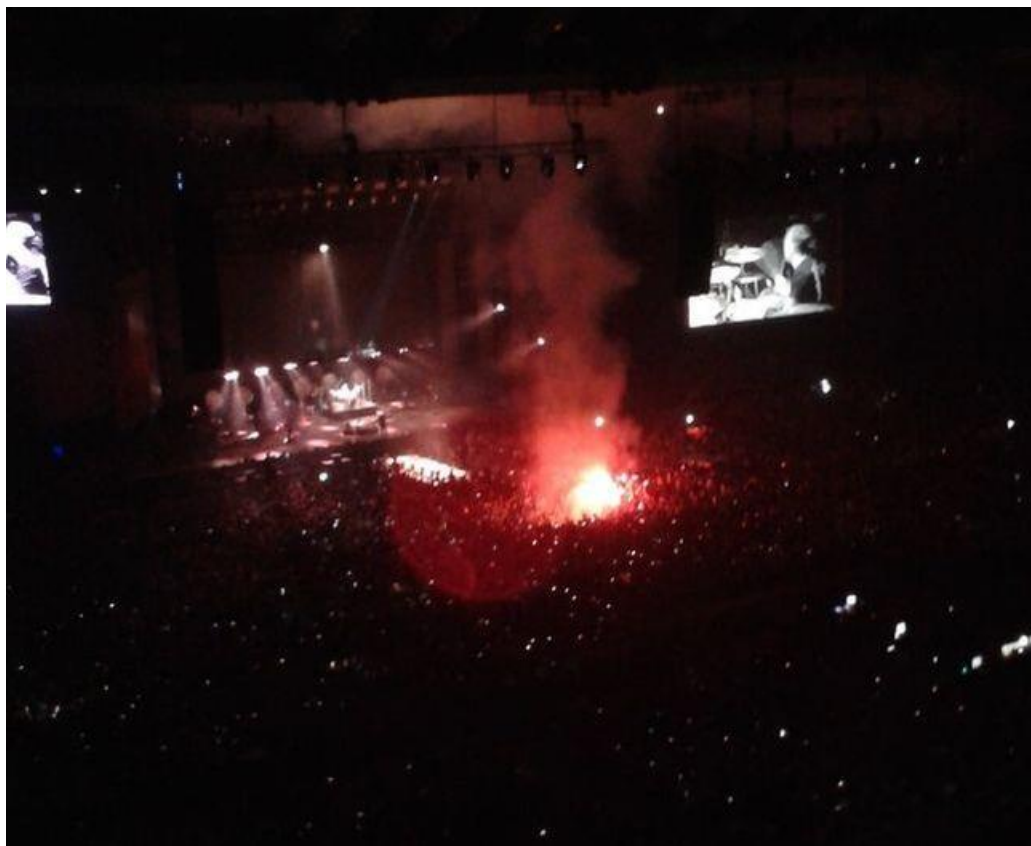
Przez następne kilka kawałków tak to wyglądało – wizualki z historią kraju i zespołu, a na scenie Szewczuk z dość pokaźną grupą ludzi. Brzmiało to świetnie, nawet na naszych miejscach. Dziwiło tylko, że na płycie ogólnie dość statycznie to wyglądało poza jednym kotłem, gdzie widać było, że działy się rzeczy wielkie, włącznie z odpalaniem rac. Wielu rac. Było też parę flag. Ludzi przybywało cały czas, w końcu płyta zaczęła się poważnie napęlniać, ale jeszcze dobrze w drugiej godzinie koncertu można było ujrzyć kogoś w płaszczu, kto desperacko szukał miejsca.

Idea kompozycji tego koncertu była taka, że najpierw grali blok rockowy, potem industrialny, przy czym ten drugi był dość krótki, zaś potem walili wszystko, co miało sprawić, że ludzie zawyją ze szczęścia, bo po to przyszli. W sumie jednak to nastąpiło dużo wcześniej, głównie dzięki temu, że jechali kawałkami z lat 80. Z czasem wizualki zeszły nieco z tematu historii kraju i zespołu bardziej w stronę symboliczną (BYŁ STALIN!). Mieli to naprawdę dobrze zbalansowane, chwilę szybciej, chwilę spokojniej. Szewczuk przesadnie wiele nie mówił, chociaż życzył wszystkim pokoju, z naciskiem na Ukrainę (powiedzenie czegoś takiego przed kilkunastoma tysiącami Rosjan i przeżycie, to naprawdę jest wyczyn). Na koniec bloku rockowego grają *Мемель* i to jest taki kawałek, że cała sala śpiewa, wzrusza się, płacze i jest zachwycona. Właściwie mogliby po nim sobie iść do domu, ale gdzie tam, toż zaledwie połowa roboty! Był to też jeden z momentów kiedy większość zebranych dobyteła telefonów i w efekcie trybuny świeciły się bardziej niż scena.



*Narodu u nas mnoga*

Im dalej tym więcej radości, kładli wszystkie swoje największe hity i co jakiś czas jakiś nowszy kawałek. Na płycie pojawiały się kolejne race, w pewnym momencie było tyle ludu, że zacząłem wierzyć, że może naprawdę zebrali te 35 tysięcy. *Bemep* stał się *In Memoriam* poświęconym muzykom, którzy już nie żyją. Wystarczyło tego spokojnie na cały utwór, a przy niektórych ludzie dosłownie wyli (najbardziej oczywiście przy Wiktorze Coju, no i byłych członkach DDT).



*Dziś w klubie będzie bang*

Gdy zeszli przed bisami, to wiele osób rozpoczęło opuszczanie sali koncertowej. Szewczuka nie było solidną chwilę, aż zacząłem się martwić, że nie wrócą i nie będzie *Это всё* na koniec – byliśmy już daleko w trzeciej godzinie koncertu, w liczbie kawałków pogubiłem się dawno, bo czuło się, jakby grali jeden i dopiero co zaczęli. Szczęśliwie, było. W końcu jak ma się taki kawałek, to grzech z niego nie skorzystać, zwłaszcza, że wiadomo, że jak ktoś przyszedł, to będzie krzyczał, że

„Это всё, что останется после меня,  
Это всё, что возьму я с собой”.

I zgodnie z tytułem to już był absolutny, całkowity i totalny koniec. Łącznie 35 utworów, niektóre kombinujące dwa. Wyglądało to tak (skopiowane z rosyjskiego profilu DDT na VK, jeszcze nie doszedłem do takiego poziomu znawstwa, żeby widzieć, jak się co z czym łączy, zazębia i przechodzi):



- 01. *Intro (инструментал)*
- 02. *Рожденный в СССР*

*Блок Rock'n'Roll:*

- 03. *Милиционер в рок-клубе*
- 04. *Конвейер*
- 05. *Змей Петров*
- 06. *Мама, я любера люблю*
- 07. *Мальчики-мажоры*
- 08. *Революция*
- 09. *Время*
- 10. *Ленинград + Не стреляй!*
- 11. *Дождь*
- 12. *Я получил эту роль + music*
- 13. *Правда на правду*
- 14. *Предчувствие гражданской войны*
- 15. *Пацаны*
- 16. *Стороною дождь (песня Алены)*
- 17. *Метель*

*Блок Industrial:*

- 18. *В бой*
- 19. *Мы*
- 20. *За тобой пришли + Потолок*
- 21. *Любовь*
- 22. *Ночь-Людмила*
- 23. *Музыкальный образ (инструментал от Романа Невелева)*
- 24. *Новое сердце + Когда един (стих)*
- 25. *Потомок тайных христиан*
- 26. *Мужество заваривать чай*
- 27. *Русская весна*
- 28. *В последнюю осень*
- 29. *Просвистела*
- 30. *Погром*
- 31. *Ветер*
- 32. *Песня о свободе*
- 33. *Любовь не пропала*

*На бис:*

- 34. *Родина*
- 35. *Это все*

Mniej kronikarsko, przekłada się to na niewiarygodną ilość szczęścia i radości dla wszystkich zebranych. Rozpiętość wiekowa publiki była wielka, od nastolatków po emerytów. Pierwszy raz od dawna byłem jedną z młodszych osób w okolicy. Nawet na krzeselkach ludzie się gibali i wydzielali, a przy takich hitach jak *Ночь-Людмила, В последнюю осень* czy *Просветела* można było niemal zapomnieć, że się siedzi. Im bliżej końca, tym więcej osób wstawało i tańczyło w przejściach. Widząc, że poza jednym średnich rozmiarem młynem, płyta stała dość spokojnie, w miarę doceniłem swoje miejsce – wygodnie, a możliwości ubawu podobne. Z tekstami też nie było kłopotów, ludzie krzyczeli, gdy trzeba było krzyczeć, śpiewali, gdy śpiewać, siedzieli cicho, gdy trzeba było siedzieć cicho. Właściwie jedyne życzenie, jakie mógłbym mieć do setlisty (i nie tylko ja), to *Черный нес Петербург*, który na koncertach lubi rozciągać się do jedenastu minut. Z psem czy bez, na pierwszy kontakt z grupą miałem właściwie wszystko, czego chciałem, a nawet więcej. No jeszcze *ларёк* by mnie ucieszył, ale spokojnie, 35 kawałków mi robi wystarczająco, żeby nie cierpieć i nie mieć żalu.

Czasem realizatorowi szło tak sobie – bo poza Szewczukiem na scenie było kilka osób, w tym takie ekscentryczne instrumenty jak skrzypce i trąbka. Tak więc czasem Jurij Julianowicz odchodził na bok albo nie robił akurat nic ciekawego, a realizator jakby upierał się nadal nam go pokazywać. Albo w drugą stronę: basista wycina solo, a tu pokazują nam publikę. Basista nie robi nic ciekawego – dawaj przebitkę na basistę. Pani tańczy, mim robi show – a ten pokazuje, że perkusista akurat ma spokój. Nie było tego wiele, zazwyczaj pokazywano, co miało sens, ale chwilami chciało się krzyczeć: „NO POKAŻ, ŻE COŚ SIĘ DZIEJE, A NIE JAKIEŚ SUFITY!!!”. I tak dobrą połowę koncertu były wizualki, których kadrować nie trzeba było.

Inną listę żalów mają ci, którzy spędzili solidne kawałki koncertu w kolejkach na zewnątrz. Delikatnie sprawy ujmując, ochrona nie zbiera pochwał za tempo pracy.

Przy tym wszystkim panowała atmosfera radości, czyli coś, czego w Moskwie doświadcza się bardzo rzadko – a już w dniu, gdy marcowy deszcz zacina, to wręcz uczucie niemożliwe do wyobrażenia sobie. Nikt się na nikogo dziwnie nie patrzył, nikt się nie przepychał, na twarzach wszystkich wymalowane pozytywne uczucia. W pewnym momencie Szewczuk wyznał, że dawno się nie widzieli, bo ostatnio w Moskwie grali w 2011 i że trochę minęło. Chyba powinni grać co miesiąc, a lokalna ludność być zmuszana do partycypowania. Wtedy może poziom zadowolenia z życia w stolicy by się podniósł.

Podobno Szewczuka nazywają czasem rosyjskim Springsteenem. I to nie tylko dlatego, że jedna z jego piosenek wydaje się być bardzo mocno inspirowana twórczością muzyka zza wielkiej wody.

|                                                                        |                                        |                                                        |
|------------------------------------------------------------------------|----------------------------------------|--------------------------------------------------------|
|                                                                        | <b>Jurij Julianowicz Szewczuk</b>      | <b>Bruce Frederick Joseph Springsteen</b>              |
| <b>Urodziny</b>                                                        | <b>16 maja 1957</b>                    | <b>23 września 1949</b>                                |
| <b>Dziura pochodzenia</b>                                              | <b>Ufa</b>                             | <b>New Jersey</b>                                      |
| <b>Cena biletu na koncert</b>                                          | <b>700 rubli (11,5 euro)</b>           | <b>91 euro (5600 rubli)</b>                            |
| <b>Cena koszulki z trasą</b>                                           | <b>1300 rubli (około 21 euro)</b>      | <b>25 euro (około 1500 rubli)</b>                      |
| <b>Cena wody na koncercie</b>                                          | <b>100 rubli (w Moskwie)</b>           | <b>4 euro (w Italii)</b>                               |
| <b>Setlista złożona głównie ze starych kawałków i kilku nowych</b>     | <b>V</b>                               | <b>V</b>                                               |
| <b>Czas trwania koncertu</b>                                           | <b>~3h</b>                             | <b>+3h</b>                                             |
| <b>Stado ludzi w kapeli, których imiona znają tylko najwięksi fani</b> | <b>V</b>                               | <b>V</b>                                               |
| <b>Wizualki</b>                                                        | <b>V</b>                               | <b>X</b>                                               |
| <b>Branie requestów od publiki</b>                                     | <b>X</b>                               | <b>V</b>                                               |
| <b>Wachlowanie setlistą</b>                                            | <b>V</b>                               | <b>V</b>                                               |
| <b>Ilość bisów</b>                                                     | <b>1</b>                               | <b>3</b>                                               |
| <b>Pani na scenie</b>                                                  | <b>Łysa Alyona Romanowna</b>           | <b>Blond włosiasta Patti Scialfa</b>                   |
| <b>Piosenka z ojczyzną w tytule</b>                                    | <b>Рождённый в СССР (1997)</b>         | <b>Born in the USA (1984)</b>                          |
| <b>Utwór, na który wszyscy czekają</b>                                 | <b>Metel (czyli 'Zamieć')</b>          | <b>Dancing in the Dark (czyli Dancing in the Dark)</b> |
| <b>Ruch sceniczny</b>                                                  | <b>Obecny, z chwilowymi podskokami</b> | <b>Wszechobecny, czasem bez podskoków</b>              |
| <b>Ostre piłowanie na gitarze</b>                                      | <b>V</b>                               | <b>V</b>                                               |
| <b>Słowo do narodu</b>                                                 | <b>Symboliczne, pacyfistyczne</b>      | <b>Rozległe, socjalistyczne</b>                        |
| <b>Rozmiar dyskografii</b>                                             | <b>Litości</b>                         | <b>Litości + ocean coverów</b>                         |
| <b>Okulary</b>                                                         | <b>V</b>                               | <b>X</b>                                               |
| <b>Broda</b>                                                           | <b>Zazwyczaj +</b>                     | <b>Zazwyczaj -</b>                                     |

*Oto tabelaryczny profil obu muzyków*



## Obrazy warte więcej niż tysiąc słów

[25.07.2017]

Ponieważ mateczkę Rosję pożegnaliśmy już chwilę temu, postanowiliśmy przypomnieć obrazki, które towarzyszyły naszym przygodom przez czas pomieszkiwania w mieście, które nie wierzy łzom. Oto i one



*Początki zawsze są trudne...*



*Udało nam się przejechać przez Pietuszki!*



*Dobrze wiemy, kto pisał TYM PIÓREM...*



*Wciąż oczekujemy tego uleczenia...*



# PIRAMIDA ZWIERZAT:

edycja cock-up

jenotcodzienny.  
weebly.  
com

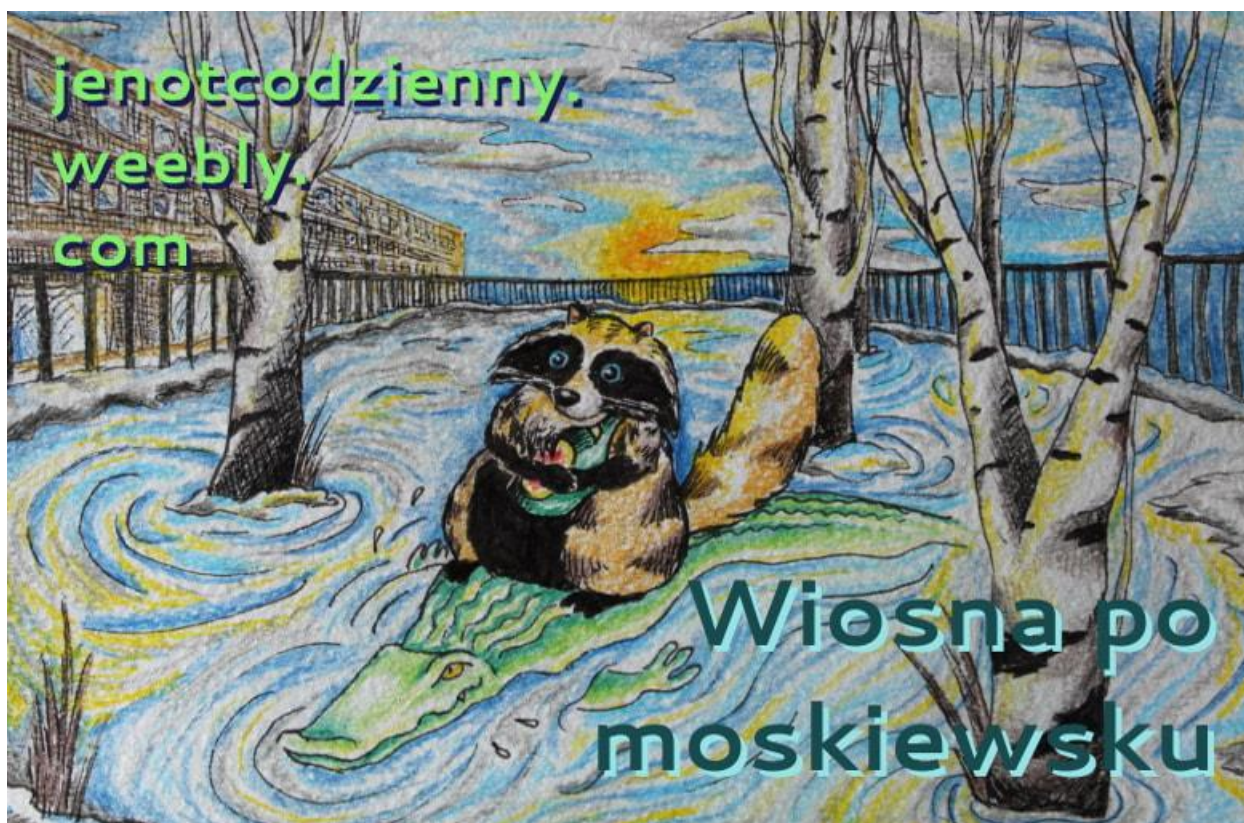


*Cock-up to słowo klucz roku 2016*



*Teraz już wiemy, że nie pokonała, chociaż zimowa wycieczka do Włodzimierza i Suzdału była dość bliska tego*





*Piękna, podmokła wiosna w Moskwie*



*Palmy, hulanki, swawole!*





*Krążyła legenda, że szkoła, w której pracowaliśmy, tak naprawdę nazywała się Wesołą Karuzelą Śmiechu*



*Dramatyczna jesień*





*Sylwestra roku 2016 spędziliśmy, grając w Wybuchające Kocięta*



*Nie zapomnijmy o najwyższych wartościach! Wszystko zrobisz i wszystko możesz pokonać na świecie kopiejką*